

sierpień 2014 \* nr 7 \* vol 2

egzemplarz bezpłatny

# PRYZMAT

białski miesięcznik społeczno-kulturalny



Pryzmat | ISSN 2300-018X

Karol Okrasa przy babcinym fartuchu

Ogródki szczęścia

Golf, czyli dołki w trawie

Filozofia dźwięku Marcina Koszołki



str. 10

**fotografia**

Biała wczoraj i dziś – Plac Szkoły Dwór 4

**ludzie**

Przy babcynym fartuchu – rozmowa z Karolem Okrasą 10

**pasje**

Ogródki szczęścia 12

**ludzie**Marcina Koszołko filozofia dźwięku 14  
Marek Wróbel – niespokojny duch 18**sport**

Dołki w trawie 20

**biznes**Modrzew budzi do działania 24  
W atelier Sylwii Redy 26**moda**

Kwiaty, kwiatki, kwiatuszki 28

**wiersze wujka Jacka**

Gąsienica i motyl 32

**miszmasz Edyty Tyszkiewicz**Ryczące czterdziestki – felieton 33  
Apartament 23 – recenzja książki 33**bohaterowie białskich ulic**

Ul. Haliny Łuczyckiej 34

**psycholog – Karolina Laszuk**

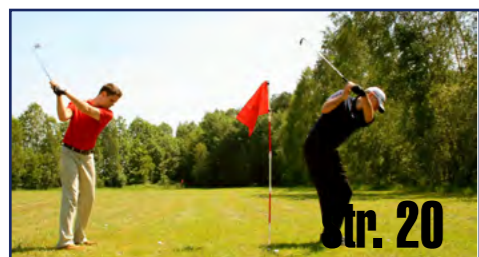
Brudny język 35

**kuchnia**Pierogi w kredensie 36  
Z miętą za pan brat 37**historia**

Orlęta – rocznik 1974 38

**kalendarz wydarzeń na sierpień 39****wydarzyło się w lipcu 40**

str. 12



str. 20



str. 24



str. 26



str. 28



str. 32

**przez PRYZMAT**

Polacy są podobno najbardziej zapracowanym narodem w Europie, jak wynika z międzynarodowych badań. Legendarna wręcz pracowitość Polaków to nie jest wynalazek XXI wieku. Tylko że kiedyś, łatwiej było o dłuższe wakacje i wyścig szczurów był skromniejszy, bo i ser miał w sobie więcej dziur niż masy serowej.

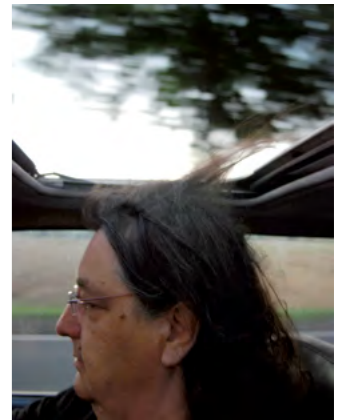
W tym zapracowaniu, codziennej walce o przetrwanie czujemy się często jak na wojnie z rzeczywistością. Zdawać by się mogło, że powoli wygrywamy, gonimy inne kraje raz w dobrobycie, raz w ubóstwie. Ale jak to na wojnie: ofiary muszą być. I są. Tyle że ofiarami nie padamy my, lecz nasze związki, a przede wszystkim nasze dzieci. Bo to podobno dla nich wszystko robimy. To dzięki naszym trzem etatom dzieci mają nowe rowery, komputery i tablety. Jednak bilans zysków i strat jest tu bardzo smutny – nasze dzieci mają wszelkie nowinki techniczne, ale nie mają nas, rodziców.

Sierpień w mojej rodzinie był zawsze miesiącem wspólnego spędzania czasu. Nawet kiedy się zakochałem jako 12 latek w córce sołtysa wsi, w której byłem na koloniach, i chciałem zostać na drugi turnus, nie dało się. Wyjazd na wspólny urlop był świętością ponad wszelkie burze hormonów.

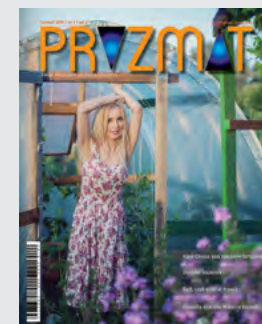
Tamte wakacje obfitowały w odkrycia. Imię córki sołtysa szybko wyleciało mi z pamięci, a wakacyjny sierpień 1968 roku do tej pory wspominam jako pełnię szczęścia w nieszczęściu. Kiedy to polityczne zawieruchy w Czechosłowacji sprawiły, że nasza rodzina zagubiona na rumuńskich plażach stała się celem drobnych agresji ze strony Czechów i ich przyjaciół Rumunów, dla których byliśmy ambasadorami agresora. Jednak mój tato szybko stał się popularną postacią, a nasze obozowisko szybko zaczęli odwiedzać Czesi, łącąc campingowe stosunki polsko-czeskie przy pomocy butelek wina. A to wszystko dzięki małemu radiu tranzystorowemu, które na okrągło było nastawione albo na Waszyngton, albo na Wolną Europę. A my staliśmy się dziećmi faceta z radiem i już nikt nas więcej nie zaczepiał.

Niedawno zmarł mój tato. I wspomnienia z naszych wspólnych wakacji ożywiają zawsze jego obraz. I życzył bym każdemu dziecku, i każdemu rodzicowi, żeby mogli spędzać razem trochę czasu na wakacjach, bo nic tak nie cementuje rodziny jak wspólne wyjazdy, wspólne pokonywanie problemów i kiełbaska nad ogniskiem, nawet jeśli odbywa się to kosztem niespełnionej miłości do córki sołtysa.

*A Nohkej Kosciw.*



Andrzej Koziara

**PRYZMAT Biała Podlaska ISSN 2300-018X**

Biała Podlaska, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 3

Koordynator wydawcy: **Renata Szwed (r)**, tel. 83 341 61 44Redaktor naczelny: **Andrzej Koziara (ak)**, 690 890 580

Redakcja: Renata Szwed, Katarzyna Fronc, Edyta Tyszkiewicz, Małgorzata Tymoszek, Karolina Laszuk, Joanna Olecka, Radosław Plandowski,

Foto: Małgorzata Piekarska, Elżbieta Pyrka, Anđelika Żeleźnicka, Natalia Wołosowicz, Joanna Żuk

Druk: Top-Druk, 18-402 Łomża, ul. Nowogrodzka 151A

Wydawca: Urząd Miasta Biała Podlaska, 21-500 Biała Podlaska, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 3

e-mail: pryzmat@bialapodlaska.pl, www.facebook.com/magazynpryzmat

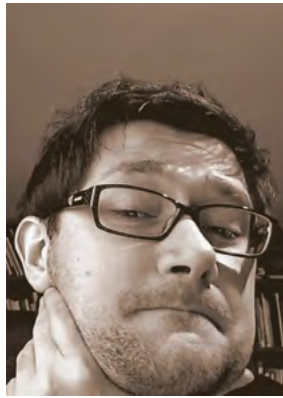
Nakład: 3000 egz. Egzemplarz bezpłatny.

Treści zawarte w czasopiśmie Pryzmat Biała Podlaska, chronione są prawem autorskim. Wszelkie przedruki całości lub fragmentów artykułów możliwe są wyłącznie za zgodą wydawcy. Odpowiedzialność za treści reklam ponosi wyłącznie reklamodawca. Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania skrótów tekstów, nadawania śródtytułów i zmiany tytułów. Nie identyfikujemy się ze wszystkimi poglądami wyrażanymi przez autorów na naszych łamach. Nie odsyłamy i nie przechowujemy materiałów niezamówionych. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wydawnictwo ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36 pkt. 4 prawa prasowego).

# RAPORT ŻUKA

Jeśli widzieliście małego „żuczka“, krążącego nad miastem, to była właśnie Joanna Żuk, pasjonatka lotnictwa i fotografii. Prezentujemy fantastyczne zdjęcia naszej współpracownicy, pokazujące Białą Podlaską z perspektywy, z jakiej niewiele dane jest ją oglądać.

**Centrum miasta – widok od ul. Narutowicza – foto Joanna Żuk**



Radosław Plandowski

# PODLASKIE WYPRAWY Z LATA WYJĘTE

Lato i wakacje to symboliczny czas w życiu każdego z nas, jednocześnie naznaczony pewną cechą, o której niedawno usłyszałem jako syndromie pierwszych kolonii. Co to za cecha? Wyjątkowy sentyment, a z drugiej strony rozczarowanie, spowodowane smutną prawdą: z perspektywy czasu nic nie okazuje się takie, jakie było za pierwszym razem. Mam wrażenie, że każdemu z nas, choć w niewielkim stopniu, powrót do dzieciństwa kojarzy się z przyjemną beztrudną i odkrywaniem. W szczególności zaś właśnie z wakacjami, które spędzaliśmy na inspirujących wyprawach – jeśli nie w odległe zakątki kraju, czy nawet za granicę, to chociaż w nie tak bardzo oddalone, ale za to równie tajemnicze miejsca. Ba! Wielkich odkryć można było przecież dokonać nawet obok własnego domu. Wszystko podsycane literaturą i niemal pewnością, że świat ma przed nami wiele tajemnic, które tylko czekają na odkrywanie. Mam nadzieję graniczącą z pewnością, że każde pokolenie ma swoje „odkrywanie”, nawet jeśli lato spędza się przed komputerem albo wśród betonowych osiedli. To po prostu cecha przekazywana w genach i nie warto się z nią rozstawiać, zwłaszcza że szybko wyrastamy z twórczych wypraw, a już na pewno nie mamy na nie tak dużo czasu jak dawniej. Właśnie z tą myślą odwiedzałem ostatnio białskie muzeum, w którym od czerwca można oglądać ekspozycję „Gość w dom, Bóg w dom. Podróż przez Podlasie”. Każdy z nas jest częścią tego miejsca i trudno się z tego wyłamać. Zwłaszcza, że tradycja, o której mowa na wystawie, dla młodego pokolenia jest już niemal historią nie z tej ziemi. Jeśli nie brało się w niej udziału, trudno jej nauczyć. Podążałem od fotografii do fotografii, mijając obrazy, rzeźby i oglądając film z naszych stron, wreszcie przekraczając lekko uchylone drzwi stodoły, w której pachnie zniwami. Można powiedzieć, że to prawdziwa egzotyka, nawet w miejscu, gdzie żyjemy, jednak wciąż powszechnie są takie miejsca. Moi dziadkowie nadal żyją w drewnianym domu, gdzieś na uboczu cywilizacji. Z kaflowymi piecem, otoczeni polami, ze studnią na podwórzu i gromadką zwierząt. Ich najbliższymi sąsiadami są bociany, które kiedyś znalazły sobie tutaj bezpieczną przystań i wciąż wracają jako dowód na nieprzemijalność rzeczy. My także powracamy. Raz w roku spotykamy się tam wszyscy podczas odpustu, kiedy przy kościele głośno przygrywa orkiestra OSP, a na zewnątrz czekają już stragany dla najmłodszych. Jako dzieci

wywoziliśmy z nich prawdziwe skarby. Wartość i znaczenie tych miejsc odkrywa się dopiero po latach. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś będą musiały zniknąć, bo nikt nie kłęknie przy pochylonej, zaniedbanej kapliczce u zbiegu ulic. Wiejskie chaty zapadną się w samotności, podwórza opustoszeją w milczeniu. Wiatr wymiecie ze stodoły resztki słomy i siana, zaskrzypi głośno drzwiami po raz ostatni. Już teraz pełno takich opuszczonych miejsc, prawdziwych cmentarzy pamięci. Chociaż nikt nie zostawia przy nich kwiatów, nie pali zniczy, są świadectwem życia i ciężkiej pracy prawdziwych ludzi. Fascynuje się nimi sztuka, patrzą z zachwytem malarze, fotografowie i filmowcy. Patrzą z tym samym sentymentem i przestraszonym, bo chociaż nic nie jest takie, jakie zapamiętaliśmy, to pewne rzeczy nigdy nie zmienią swego położenia, jakby na złość błyskawicznie znikającej pamięci. Pochyliła się tylko i skostnieją, ale przetrwają. Chyba że wcześniej zmiażdży je bezmyślnie ludzka ręka. Wracam pamięcią do tych miejsc szczególnie latem, w porze żniw, do których jeździło się ze zmienną chęcią. Częściej z konieczności niż ochoty. Doceniam jednak te wyprawy, chociażby jako lekcję szacunku do pracy i tradycji. Wreszcie także jako wspaniałą przygodę, której echa można odnaleźć na muzealnej wystawie. Polecam ją na letnie ekspedycje, dla młodych i tych trochę starszych. ◀

„Wielkich odkryć można było przecież dokonać nawet obok własnego domu. Wszystko podsycane literaturą i niemal pewnością, że świat ma przed nami wiele tajemnic, które tylko czekają na odkrywanie.”

Katarzyna Fronc



# SYMPATIA NA WYCIĄGNIĘCIE MYSZKI

„Była za stara na szaleństwa w nadbałtyckich kurortach i za młoda na romanse w obleganych uzdrowiskach i sanatoriach. Nie chciała słyszeć o wyjazdach do Egiptów i innych Bułgarii. Czekala tylko, kiedy w spokoju będzie mogła zasiąść przy klawiaturze laptopa i znaleźć kogoś na stałe.”

Jestem staromodna. Moje wakacje, jeśli już sobie na nie pozwolę, polegają na szaleńczym zwiedzaniu, a po nim na intensywnym odpoczynku we własnym ogrodzie. Do głowy by mi nie przyszło, żeby urlop spędzać przed komputerem, dlatego ze zdziwieniem słuchałam ostatnio o planach jednej z moich znajomych. Jolka czekała na urlop nie dlatego, że chciała przeżyć wakacyjną przygodę. Nie dlatego też, że potrzebowała odpoczynku od papierów w pracy, upierdliwych klientów i wymagającego szefa. Czekala na urlop, nie pakując walizek, nie planując wyjazdów z Białej ani choćby odwiedzin u rodziny na wsi. Całkiem inaczej niż inne znane mi osoby. – Wyjeżdż gdzieś, chociaż na tydzień – radziły jej zyczliwe koleżanki. Jolka nie rozważała takiej możliwości. Była za stara na szaleństwa w nadbałtyckich kurortach i za młoda na romanse w obleganych uzdrowiskach i sanatoriach. Nie chciała słyszeć o wyjazdach do Egiptów i innych Bułgarii. Czekala tylko na to, kiedy w spokoju będzie mogła zasiąść przy klawiaturze laptopa i znaleźć kogoś, kto pomoże jej zapomnieć o trudnym rozstaniu, jakie stało się jej udziałem kilka miesięcy temu. – To żadne antidotum. Wiesz, jakich oszustów można poznać w necie? Jakich zbrojeńców? – tłumaczyły jej koleżanki. Tyle tylko, że one miały stałych mężów albo przelotnych kochanków poznanych w realu. Jolka nie miała.

I nie miała chęci, żeby wyjść z domu, by kogoś poznać. Nie szukała miłośnej przygody. – Szukam kogoś na stałe – taką formułkę miała przygotowaną dla zagadujących ją w dyskotekach chłopaków. Ale to już zamierzchłe czasy. – Teraz nowoczesnie poznaje się partnerów, na portalach randkowych – z takiego założenia wychodziła ta moja koleżanka, tłumacząc mi, że to dużo bezpieczniejsze niż tradycyjna metoda poznawania ludzi. No i wygodniejsza. Bo po pierwsze – można już na wstępie przeprowadzić odpowiednią selekcję, dzięki czemu nie traci się czasu na nieodpowiednie znajomości. Po drugie zawęży się krąg poszukiwań potencjalnej miłości, by na randkę nie jechać kilkadziesiąt kilometrów. A jak przyjdzie co do czego, czyli do wspólnego życia, nie trzeba będzie sprzedawać mieszkania i przeprowadzać się na drugi koniec Polski. Za przykład stawiała sobie Michała i Elkę, którzy poznali się na portalu randkowym i od kilku lat są małżeństwem, zazwyczaj szczęśliwym. Spłodzili dziecko, dorobili się samochodu. Drzewa tylko nie posadzili, ale to jeszcze przed nimi, bo najpierw muszą wystarać się o wspólny kredyt, żeby dom wybudować. Póki co mieszkają u rodziców. Jolka też tak chce, nawet jeśli miałaby mieszkać u teściów kilka lat. Korzysta więc z cennych rad obecnej mężatki, a niegdyś zapalanej poszukiwaczki męża w Internecie. Na to postanowiła poświęcić swój urlop wypoczynkowy. Tak też można. Ale gdzie romantyzm, ja się pytam. – Romantyzm to bzdury! – uświadamiał mnie znajomy, który ma bliżej do pięćdziesiątki niż czterdziestki. On też szuka kogoś. No może nie na stałe, ale szuka. I testuje, przepytuje... Wszystko wirtualnie, żeby nie było. Swoisty casting ma wyeliminować nieodpowiednie kandydatki na spędzenie kilku wieczorów. – Nie mam czasu, żeby siedzieć z kimś przy kawie i silić się na nieinteresującą mnie zupełnie rozmowę. Inna sprawa, że mało która przebrnie przez sito moich pytań – mówił, kiedy dowodziłam o wyższości tradycyjnego sposobu zawierania znajomości damsko-męskich, nawet jeśli niesie ze sobą ryzyko niepowodzenia. – Zobacz, jak już się z kimś z netu umawiam, to wiem, czego się mogę spodziewać – zapewnia weteran internetowych randek. Czy aby na pewno? Przecież więcej niż z mejla można wyczytać z mowy ciała. – Z mejla też można, trzeba tylko czytać między wierszami. Nie interesują mnie babki, z którymi nie mogę porozmawiać o filozofii albo polityce. Ani takie, które nie mają na swoich profilach zdjęć... No i wszystko wiadomo. – A jak już znajdziesz taką, która prosta twoim oczekiwaniom? – zapytałam, widząc, że dalsza dyskusja jest zbędna. – To się z nią chajtne. Znasz Michała i Elkę? Oboje z Białej, a poznali się w necie... ▶

# BIAŁA PODLASKA, PL. SZKOLNY DWÓR



1983

FOTO ADAM TROCHIMIUK



2014

FOTO NATALIA WOŁOSOWICZ

# PRZY BABCINYM FARTUCHU

O smakach dzieciństwa i realizacji marzeń  
z **Karolem Okrasą**,  
urodzonym w Białej Podlaskiej mistrzem kuchni  
i autorem telewizyjnych programów kulinarnych  
rozmawiała **Joanna Olecka**  
foto archiwum

**Czym dla pana jest udział w niekomercyjnych imprezach jak czerwcowy Festyn Rodzinny w białskiej Szkole Podstawowej nr 4?**

– Jestem zafascynowany tą szkołą i hasłem całej imprezy „Z rodziną po zdrowie”. To niesamowita sprawa. Dzieci najlepiej uczą się, kiedy my, dorośli, dajemy im dobry przykład. Staram się odpowiadać na każde tego typu zaproszenie, bo uważam to za swój obowiązek. Dużo rzeczy mi się w życiu udało i chcę się tym dzielić, na tyle, ile mogę.

**Czy sądzi pan, że takie prezentacje mogą się przyczynić do promowania zdrowego stylu odżywiania wśród dzieci?**

– Taka integracja w temacie zdrowia jest szczególnie ważna. Pokazuje, jak duże znaczenie mają wspólne rodzinne relacje, także wspólne gotowanie. Są to chwile, które pamięta się przez całe życie i z których się później czerpie siłę. W obecnych czasach ludzie się ciągle spieszą. Wszyscy jesteśmy zabiegani i zapominamy o tym, co jest najważniejsze. Dzieci uwiązane do iPadów i komórek często nie mają okazji poczuć zapachu drożdżowego ciasta pieczonego przez mamę. Szkoła dała wspaniałą okazję do tego, by zaznaczyć, jak ważne jest dbanie o wzajemne relacje w rodzinie i współdziałanie. Cieszę się, że fantastyczne grono pedagogiczne na czele z panią dyrektorem i rodzicami z takiej właśnie okazji mnie zaprosiło.

**Urodził się pan w Białej Podlaskiej.**

– Tak, ale samego miasta nie pamiętam zbyt dobrze. Do piątego roku życia mieszkałem z rodzicami w PGR w Połuskach i to głównie z tym miejscem związane są moje dziecięce wspomnienia.

**Ma pan sentyment do południowego Podlasia?**

– W głowie mam niemal slajdy tych wszystkich miejsc, w których upływało moje wczesne dzieciństwo. Wtedy życie kręciło się właśnie wokół gospodarstw. Pracowali tam moi rodzice. Było to bardzo naturalne, swojskie miejsce, a społeczność samowystarczalna, w której każdy miał swój ogródek, kaczki, gęsi itd. W centralnym miejscu odbywało się świnioobicie, któremu

my, dzieci, przyglądaliśmy się z ciekawością. Pamiętam doskonale zapachy, które towarzyszyły temu miejscu, wspólne zbieranie grzybów i jagód, wykradanie cieletom mleka czy ziemne piwnice, które służyły nam zimą jako zjeżdżalnie w trakcie szczeniackich zabaw. Przed oczami mam całą przyrodę, przepiękne lasy, w których często można było spotkać zmię.

**Sielankowy obraz wyłania się z pana wspomnień...**

– Tak właśnie widzę swoje dzieciństwo. Z tego okresu mam same miłe i ciepłe wspomnienia. To był okres bez troski.

**A co ze smakami dzieciństwa? Ma pan takie?**

– Oczywiście. Pamiętam wspaniałe potrawy i aromaty. Pewnych smaków dzisiaj już nie ma, staram się do nich wracać i próbuję je odtwarzać. Z dzieciństwem zawsze będzie mi się kojarzył zapach osmalanego prosiaka. W pamięci na zawsze zostaną także ulubione wtedy kanapki z wodą i cukrem.

**Jak dzisiaj widzi pan Białą Podlaską?**

– Nie ma już niestety szpitala, w którym się urodziłem. Zapewne mnóstwo się zmieniło, ale jedną z bardziej wartościowych rzeczy, na jakie zwróciłem uwagę, to to, że jak nigdzie indziej spotkać tu można piękną, starą drewnianą zabudowę, ocalałą gdzieś pomiędzy współczesną infrastrukturą. Stanowi to niewątpliwie urok tego miasta. Chciałbym, żeby te domy ocalały. Nie zmieniła się zupełnie gościnność mieszkańców. Ludzie są tak samo serdeczni i otwarci jak w moich wspomnieniach. Powiedzenie „gość w dom, Bóg w dom”, które wyniosłem właśnie z mojego rodzinnego domu i tych stron, jest jedną z ważnych dla mnie wartości.

**Jeśli o wartościach mowa... Jakimi kieruje się pan w życiu?**

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało patetycznie, ale uważam, że w życiu wiele spraw mi się udało, a to zobowiązuje mnie do tego, aby samemu dawać i staram się to robić z nawiązką. Stąd także mój przyjazd do szkoły w Białej Podlaskiej. Staram się podchodzić z pokorą do tego, co mam. Poza całą komercją, która oczywiście zmieniła moje życie, wiele ułatwiła, zmieniła status mate-

rialny, są takie podstawowe wartości, jak rodzina, która jest dla mnie najważniejsza i dla której żyję. Staram się robić w życiu to, co kocham.

**A kocha pan gotować...**

– Powstawanie nowych potraw jest trochę jak rodzenie się nowego człowieka – nigdy nie wiadomo, jaki będzie. Niby człowiek, ale każdy z innym charakterem. To samo jest z potrawami. To samo danie można przygotować na wiele sposobów. Nie uznaję żadnych ograniczeń w kuchni. Mam zasadę, że jedzenie należy przygotowywać z szacunkiem dla gości i samego produktu.

**Skąd czerpie pan swoje inspiracje kulinarne?**

– Jest ich wiele, ale do najważniejszych mogę zaliczyć wspomniane wcześniej dzieciństwo. Wracam do tego, co „spalone” i przypalone, co suszone, ale też do aromatów runa leśnego. Mam te smaki mocno zakodowane w pamięci. Jest to kuchnia mojej babci i mojej mamy. Lata spędzone przy ich fartuchu wspominam z sentymentem. Innym źródłem moich inspiracji są stare książki kulinarne z XV-XVIII w. Fascynuje mnie zgłębianie tajemnic dawnej kuchni, odszukiwanie zapomnianych receptur. Poznaję genezę dawnych potraw, a na ich podstawie tworzę własne przepisy.

**W pana zawód wpisane są też podróże.**

– One też mnie inspirują. Poznanie nowego miejsca zaczynam od jego kuchni. Odwiedzam miejscowe bazyry i stragany, rozmawiam z ludźmi. Staram się poznać ludzi i ich autentyczną kulturę kulinarną, w jej dziewiczej, naturalnej formie. Za każdym razem z podróży coś ze sobą przywożę.

**Pamięta pan swoje pierwsze kulinarne kroki?**

– Pewnie, bo zostawiły we mnie jakiś ślad. Począwszy od szkoły gastronomicznej, gdzie pracowałem w stołówce, przez sezonowe sprzedawanie kielbasek w Zalesiu Górnym, kiedy to z kumpłem z ławki kombinowaliśmy, jak tu zarobić. Ta praca nauczyła mnie pokory. Sukcesem było to, że potrafiłem sam zarobić na swoje utrzymanie. Wtedy zrozumiałem, że nie ważne, co robisz w życiu, ale musisz to robić dobrze od początku do końca.

**Pomimo młodego wieku pracował pan w wielu prestiżowych restauracjach. Która była najważniejsza z punktu doświadczenia zawodowego?**

– Ważnym miejscem była kuchnia hotelu Jan III Sobieski, gdzie odbywałem swoje praktyki zawodowe, ale też praca w hotelu Bristol czy wyjazdy zagranicę do Austrii i Włoch, gdzie promowałem polską kuchnię. Także wspomniane wcześniej podróże prywatne, podczas których starałem się poznawać dany kraj właśnie „od kuchni”. Każdy z tych etapów zmienił moje podejście do życia, zarówno prywatnego, jak i

zawodowego. Trudno mi powiedzieć, które z tych doświadczeń było najważniejsze. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że był to hotel Bristol i to nie wtedy, kiedy zostałem szefem kuchni, ale kiedy pierwszy raz awansowałem. Wtedy zostałem doceniony i poczułem, że to, co robię, ma sens. Że moja ciężka praca się opłaca, że ktoś ją zauważa.

**Jest pan dowodem na to, że ktoś, kto urodził się w niewielkim mieście, żeby nie powiedzieć na prowincji, może zrobić karierę. Że nie jest to żadną barierą w realizacji marzeń.**

– Myślę, że pochodzenie z małego miasta, to wielki atut. Tutaj ludzie mają fantastyczne marzenia i otwartą głowę. Mam wrażenie, że w dużych miastach działamy na podstawie pewnych utartych schematów. W małej miejscowości człowiek jest wolny, może sobie wymarzyć, co chce. Musi tylko wierzyć, że mu się uda. Oczywiście nigdy nie wiadomo, jak potoczy się nasze życie i czy rzeczywiście spełni się to, co sobie założyliśmy. Ja także tego nie wiedziałem. Nie zakładałem, że będę znany, chciałem po prostu być dobrym kucharzem i mieć swoją restaurację. Te marzenia się spełniły. Mam wrażenie, że dzięki kolejnym etapom mojego życia zawodowego w pewnym momencie pojawiła się telewizja. Nie byłbym osobą medialną, gdybym nie był dobrym kucharzem.

**Czy uważa pan, że Polacy, zwłaszcza mieszkańcy małych miast, są gotowi na przekraczanie granic kuchni tradycyjnej, na kulinarne eksperymentowanie?**

– Myślę, że tak. Skoro moja mama jest gotowa, to są także inni. Nie sadzę, aby dobra była w tym temacie rewolucja. Jestem zwolennikiem raczej kulinarnej ewolucji. W swojej kuchni staram się wprowadzać pewne nieoczywiste „smaczki”, które mogą być postrzegane czasem jako fanaberie, ale staram się poprzez to otwierać nowe horyzonty, nie zatracając przy tym szacunku dla tradycji.

**Zdradzi pan, kto gotuje w pana domu?**

– Kiedy jestem w domu, to ja gotuję. Ale zazwyczaj, ze względu na moją pracę, codzienne gotowanie i większość spraw związanych z opieką nad naszą sześciolletnią córką spada na moją żonę Monikę. Mam to szczęście, że żona również świetnie gotuje, poznaliśmy się przecież w szkole gastronomicznej.

**Podczas szkolnego festynu usłyszeliśmy pewną deklarację... Czy to oznacza, że zrealizuje pan któryś ze swoich programów w naszym mieście?**

– Myślę o odwiedzeniu tych stron. Na pewno w najbliższym odcinku pozdrowię szkołę, dzięki której mogłem tu gościć. Sądzę też, że wszyscy zainteresowani mogą już wypatrywać żółtej syrenki Karola Okrasę na ulicach Białej Podlaskiej.

**W takim razie, do zobaczenia.**

# OGRÓDKI SZCZĘŚCIA

Zamiast siedzieć przed telewizorami, na balkonach czy ławce przed blokiem wolą aktywnie spędzić czas na łonie natury. I bynajmniej nie chodzi o spacer czy leniuchowanie. Wprost przeciwnie – trzeba się zmęczyć, żeby potem zbierać plony. Jednak ciężka praca im, działkowiczom z krwi i kości, daje satysfakcję. – Na działkach jest wszystko, co powinno być: warzywa, owoce, trawa, spokój i cisza, a najwięcej to roboty – mówi weteran ogrodnictwa, spotkany na terenie ogródków działkowych przy al. Tysiąclecia.

Jeśli chodzi o tak zwane uprawianie ziemi, to powiem szczerze, mam mieszane uczucia. Z jednej strony podziwiam tych, którzy uprawiają warzywa, troskliwie zajmują się krzewami i drzewami owocowymi. Trochę im też zazdroszczę. Z drugiej strony nie przepadam za czynnym uczestnictwem w pracach ogrodniczych i polowych, co nie oznacza, że sama nie posiadam ogródka działkowego. Chociaż posiadam, to może za dużo powiedziane. Ten ogród działkowy po prostu jest, a ja z mężem od czasu do czasu na nim bywamy po to, by skosić trawę, zerwać czarną porzeczkę czy aronię i nacieszyć wzrok dojrzewającymi winogronami. Oczywiście kilka razy w sezonie grillowym spotykamy się ze znajomymi, by upiec kilka kiełbasek i popić je zimnym piwem. W tygodniu, zapracowani, zaglądamy tam rzadko, by rzucić okiem, czy wszystko w porządku. I właśnie pewnego lipcowego wieczora, podczas spaceru z psem, kontrolnie wpadamy na teren ogrodu działkowego Stokrotka. Tuż za bramą spuszcza się ze smyczy uszczęśliwioną suczkę. Grace od razu puszcza się w pogoń za żółtym motylem, a my spacerkiem idziemy główną alejką. Po drodze spotykamy moją znajomą Izę i pana Stanisława, którego z kolei zna mój mąż. Iza i Staszek właściwie zbierają się już do domu, ale jeszcze zatrzymali się na chwilę pogawędki. My też przystajemy.

## Z pokolenia na pokolenie

Rozmawiamy o podejściu do „działkowania”. Wiem, że Iza wraz z mamą i siostrą odziedziczyły działkę po zmarłym tacie. – Musiałyśmy się nią zaopiekować, bo tata powiedział, że jak nie będziemy się nią zajmować, to po śmierci będzie nas straszył po nocach – mówi Iza. Faktycznie często ją tu spotykam. Na jej działce po obu stronach utwardzonej ścieżki w równych rzędach rosną szczypior, sałata, cebula, ogórki. Jest też niewielka szklarnia, zbudowana jeszcze rękami taty Izy. Tuż przed domkiem zasiana jest trawa. Stoi też huśtawka. Z niej najczęściej korzystają rozbrykane dzieci Izy i jej siostry. – Wiadomo, że dzieci nie lubią pracować na działce. Traktują to jako karę, ale lubią tu przychodzić, żeby się pobawić. Zresztą moja siostra też nie przepada za pracami ogrodowymi, ale pomaga, bo musi – przyznaje kobieta. Działka Izy jest w rękach jej rodziny od 1990 roku i póki co nie zamierzają jej sprzedawać. – Bardzo lubię prace na działce. Żałuję, że nie mogę przychodzić częściej, ale wiadomo, jak się pracuje zawodowo, to na przyjemności zostają tylko weekendy – ubolewa białczanka. Za to pan Staszek na swoim ogrodzie spędza każdy dzień. – Byłem w domu nie siedzieć – śmieje

się. – Nawet zimą przychodzę, żeby zgarnąć śnieg ze szklarni.

## Szklarnia i komisja rozjemcza

Szklarnia pana Staszka jest jego dumą. – To największa szklarnia w tym rejonie świata – śmieje się. Nasze działki leżą dość blisko siebie, więc wiem, że znajomy mojego męża nie przesadza. I wiem też, że niejedno mógłby opowiedzieć o życiu działkowców, bo jest tu jednym z najstarszych. – Swoją działkę kupiłem 29 lat temu, więc



jestem stary działkowiec. Uprawa warzyw to mój konik. Mam warzywa, drzewka owocowe i sporo kwiatów. Na mojej działce jest wszystko, co powinno być, a najwięcej to roboty – mówi z uśmiechem pan Stanisław. Śmiejemy się z nim, bo wszyscy coś o tym wiemy. Na naszej działce, chociaż nie uprawiamy warzyw, cały czas jest coś do zrobienia. Korzystając z okazji, mąż zabiera psa i idzie zająć do naszego ogródka. Ja jeszcze zostaję, bo ciekawi mnie, jak to jest między sąsiadami. My mamy świetnych sąsiadów, ale skądinąd wiem, że z tym bywa różnie. – Związuję się tu mnóstwo przyjaźni. Na wielu sąsiadów naprawdę można liczyć, ale czasem zdarzają się też spory – przyznaje weteran ogrodnictwa. – Fakt, my mieliśmy takich sąsiadów, którym wszystko przeszkadzało – do rozmowy włącza się Iza. – Nie mogłam radia włączyć, bo od razu narzekali, a już najbardziej to na dzieci, że hałasują. Na szczęście szybko się wynieśli.

– Ja jestem w komisji rozjemczej – kontynuuje pan Staszek. – Nieraz mam do czynienia z podobnymi skargami. Wszystkie staramy się rozwiązywać na spokojnie, ale są też sprawy, które kwalifikowałyby się do sądu. Na szczęście na razie udawało nam się uniknąć takich sytuacji. Ale nie mówmy o przykrych rzeczach. Najczęściej panuje tu spokój. Każdy przychodzi na swoje działeczki, by popracować i odpocząć.

Kiedy moi rozmówcy powoli zbierają się do domów, ja dołączam do męża.

## W bocznych alejkach

Na ten wieczór nie planowaliśmy żadnych prac na działce, więc postanawiamy przejść się bocznymi alejkami ogrodu. Nigdzie się nie spieszymy. Jest przyjemnie. Zachodzące słońce jeszcze nas ogrzewa, a zapach warzyw i kwiatów przyjemnie drażni nozdrza. Wiadomo, to właśnie wieczorami ziemia pachnie najintensywniej. O tej porze dnia trudno tu kogoś spotkać. Emerycy i renciści najczęściej przychodzą w dzień. Po osiemnastej są tylko ci, którzy w ciągu dnia pracują i dopiero wieczorem mogą przyjść, by podlać grządki albo zerwać szczaw na zupę.

Kiedy wchodzimy w kolejną alejkę, moją uwagę zwraca jedna z działek. Cała zasiana trawą, równiutko przystrzyżoną. Wzdłuż ogrodzenia rosną tuje i kilka innych krzewów. Na środku stoi nowa, pomalowana na ciemny brąz drewniana altana z dużą werandą. Mam szczęście. Kiedy mijamy tę działkę, do furtki podchodzi dwoje młodych ludzi. Zagaduję ich. Okazuje się, że chłopak jest właścicielem tego przybytku. – Mam tę działkę dopiero drugi rok. Kupiłem ją jako nieużytek. Wszędzie było mnóstwo chwastów, zarośli. Sam to wszystko pomalutku doprowadziłem do takiego stanu. Posadziłem tu głównie tuje i kwiaty, ale jest też borówka amerykańska – wyjaśnia uprzejmie. Pytam, czy nie zamierza wyznaczyć miejsca na ogródek warzywny, ale zaprzecza. – To jest typowo rekreacyjna działka. W przyszłości zapewne pojawią się jakieś drzewka czy krzewy owocowe, ale to wszystko. Przenaczyłem ją głównie pod wypoczynek. Jak wszyscy działkowicze wracają zmęczeni do domów, to ja tu dopiero przychodzę odpocząć – on i jego towarzyszką najwyraźniej chcą jak najszybciej znaleźć się po drugiej stronie furtki, by zrelaksować się po całym dniu. Żegnają się więc i podążam za moim rozbrykanym psem i spokojnym mężem.

## Otwarte furtki

Za kolejnym zakrętem spotykam panie Barbarę i Elę. Ich skrawki ziemi leżą niedaleko siebie. Na działkę tej pierwszej zaprasza szeroko otwarta furtka, dlatego wchodzę bez skrupowania.

tekst Edyta Tyszkiewicz  
foto Natalia Wołosowicz

Sympatyczną właścicielkę zastaję przy zrywaniu szczypioru. – Dzisiaj jestem tu z córką i wnusią. To dla niej rozłożyliśmy mały basen – tłumaczy mi, nie odrywając się od swojego zajęcia. Faktycznie nieduży basenik stoi obok huśtawki.

Działka pani Barbary podzielona jest tak jak większość w tym rejonie na dwie części – rekreacyjną i uprawną. Oprócz huśtawki przed altanką stoi stół i ławki. Te dwie części ogrodu oddzielone są od siebie rzędami pięknych kwiatów. – Bardzo lubię mieczyki, więc mam ich naprawdę dużo, no i róże – kobieta z dumą pokazuje swoje rabaty. Muszę przyznać, że są przepiękne. Ogród warzywny też robi wrażenie. – W tym roku bardzo ładnie rosną buraki, ale cebula jest marna – pani Barbara wskazuje ręką zagonek. – Pochodzę ze wsi i uprawianie ziemi to dla mnie ogromna przyjemność. Chociaż pracuję zawodowo, to staram się być każdego popołudnia, bo tu odpoczywam. Oczywiście w weekendy przychodzi rodzina i robimy sobie grilla. Naszą rozmowę przerywa płacz wnuczki, więc nie zabieram więcej czasu. Kiedy podchodzę do furtki pani Eli, ta zaprasza mnie z szerokim uśmiechem. Odrywam ją od bardzo przyjemnej czynności. – Właśnie konsumowałam poziomki – przyznaje rozbawiona pani Ela. Altanka na jej działce jest dużo skromniejsza niż te u jej sąsiadów, ale nie to jest najważniejsze. – Działkę kupiłam w 2010 roku. Przyszłam tu niemal na gotowe, bo działka była bardzo dobrze utrzymana. Zmniejszyłam tylko trochę część uprawną i zasiałam więcej trawy.

## Z bloków do ogrodów

Pani Ela nie tylko dla satysfakcji uprawia na swojej działce warzywa. Ma swoje ulubione i woli je wyhodować sama, bez nawozów, niż kupować w marketach. – U mnie na pierwszym miejscu są ogórki. Bardzo je lubię. Proszę zobaczyć, ile ich mam. Na drugim miejscu są pomidory, a w tym roku pierwszy raz posadziłam truskawki, ale kiepsko rosną. Tu jest za mokro – stwierdza. Mówię, że wiem coś o tym, bo mieliśmy podobny problem u siebie. Między działką pani Eli a sąsiednimi ogródkami nie ma żadnego ogrodzenia. Granice wyznaczają pasy krzewów, wyższej trawy i niewielkie wgłębienie w ziemi. – Mam naprawdę ogromne szczęście do sąsiadów. To bardzo przyjemni ludzie, dlatego nie czuję potrzeby odgradzania się. Nie traktuję tej ziemi jako mojego kawałka podłogi. Moim podstawowym celem jest miłe spędzenie czasu. Ja po prostu odpoczywam przy pieleniu grządek. Lubię też tak po prostu pobyc tu, popatrzeć jak piękna jest przyroda – mówi rozmarzona i zaraz dodaje: – Szczerze polecam taki rodzaj odpoczynku, a szczególnie tym, którzy mieszkają w blokach. ◀

# MOJA FILOZOFIA DZWIĘKU



Z pochodzącym z Białej Podlaskiej  
**Marcinem Koszołko,**  
filozofem z wykształcenia  
i producentem muzycznym z zamiłowania,  
rozmawiał  
**Radosław Plandowski**  
foto Adrian Brzeziński

Marcin Koszołko od kilkunastu lat na stałe mieszka w Melbourne – artystycznej stolicy Australii, gdzie pracuje jako wykładowca, pisze doktorat i „robi” muzykę. Współpracuje z wieloma artystami tworzącymi elektronikę. Ma na koncie kilka płyt ze swoimi produkcjami, spośród których najbardziej znane projekty to „Philosophy of sound” oraz „KOShowKO”. W Białej Podlaskiej można było go usłyszeć i zobaczyć na gościnnych występach w Jazzanovie oraz podczas artystycznego wydarzenia „Park sztuki”, gdzie zaprezentował swoją twórczość, grając na... iPadach..

#### Jak zapamiętałeś Białą Podlaską?

– Mój najciekawszy okres w Białej to była końcówka lat 90. Na drugim roku ze względów rodzinnych przerwałem studia w Poznaniu i przenieśliśmy się z powrotem do Białej, zmieniając studia na zaoczne. Angażowałem się wtedy w wiele działań proekologicznych, prowadziłem Federację Zielonych, zbieraliśmy podpisy pod petycjami w związku z segregacją śmieci i budową ścieżek rowerowych. Był to taki społecznikowski okres w moim życiu, czas świadomej dorosłości. Nasze spotkania gromadziły około setki młodych ludzi i to w czasach, kiedy ekologia nie była czymś tak medialnym jak dziś. Studia to ciekawy moment w życiu, między dzieciństwem a dorosłością, gdy nie ma się jeszcze tylu obowiązków i można poświęcić czas na robienie ciekawych rzeczy. Tamten okres to również moje pierwsze próby muzyczne ze znajomymi z Białej oraz pierwsze nagrania w garażu.

#### Co było wtedy impulsem do robienia czegoś więcej?

– Pierwszy impuls, który był czymś w rodzaju kostki domina, to kontakt z Galerią Podlaską. Tam od trzeciej klasy liceum poznawałem sztukę. Wraz z kolegą ze szkolnej ławy Jarkiem Bińkowskim angażowaliśmy się w działania artystyczne, zaczęliśmy robić performance, a także kręcić film. Dzięki galerii złapaliśmy kontakt ze Zbyszkiem

Maciejukiem, który miał ogromny zapal do pracy z młodzieżą, posiadał także odpowiedni sprzęt do produkcji filmowej, w tamtych czasach trudno dostępny. Pierwszy materiał kręciliśmy w dużej mierze w dawnym szpitalu gruźliczym przy ul. Łomaskiej. Te doświadczenia były dla mnie bardzo inspirujące. Na kierunek studiów wybrałem filozofię, co było podyktowane wieloma kontaktami i znajomościami nawiązanymi w czasie liceum.

#### Australia to był przypadek, czy może dobrze zaplanowana strategia?

– Był to duży przypadek, nigdy nie myślałem, że tam wyjadę i osiadę na stałe. W ogóle nigdy nie sądziłem, że będę na stałe mieszkał za granicą, mimo że mam w rodzinie duże tradycje emigracyjne, bo na przykład mój ojciec wyemigrował do Niemiec. Już przed Australią sporo podróżowałem, np. po czwartym roku studiów zrobiłem sobie przerwę i wyjechałem na 10 miesięcy do Islandii. To chyba zaszczerpiło we mnie podróżniczego bakcyła. Wróciłem do Polski, aby skończyć studia, a potem zastanawiałem się nad swoją przyszłością. Razem z kolegą planowaliśmy wyjazd za granicę, aby podszkolić angielski w naturalnym środowisku. Australia kojarzyła nam się z krokodylami i innymi egzotycznymi zwierzętami. Usłyszeliśmy wtedy także, że Melbourne to najbardziej europejskie miasto na tamtym kontynencie i to chyba był argument przesądający kierunek wyjazdu.



Na miejscu miałem szczęście do przyjaznych i pomocnych ludzi. Po roku dostałem pozwolenie na pobyt stały. Od tamtej pory tam mieszkam, co jakiś czas odwiedzając rodzinę w Białej i okolicach. W Australii mam żonę i dziecko. Trzymają mnie też sprawy zawodowe, więc można powiedzieć, że zarzucam tam coraz więcej kotwic.

**Gdy trafiłeś do Australii miałeś już gotowy plan na to, co będziesz tam robił?**

– Edukacja muzyczna i dźwiękowa chodziła mi zawsze po głowie, jeszcze w Polsce podczas studiów. W Australii w 2002 r. zapisałem się na inżynierię dźwięku. Filozofia była wyborem licealisty, studia w Melbourne stały się decyzją znacznie dojrzałą. Oprócz nauki warsztatu znalazłem wiele kontaktów, pracowałem przez pewien czas w radiu, kolejne studia stały się także przyczynkiem kariery akademickiej. Aktualnie oprócz działalności muzycznej, wykładam na uniwersytecie i robię doktorat na wydziale przemysłu muzycznego.

**Podejście do muzyki szybko się zmienia. Można powiedzieć, że współcześnie staje się ona domeną amatorów.**

– Jest dużo wspaniałych samouków. Na mój wydział trafiają młodzi muzycy, którzy już mają świetne umiejętności, a studia traktują jako rozwinięcie warsztatu. W Australii muzyka to wielki biznes, dużo szkół robi z tego dobre pieniądze, bo jest to ciekawy kierunek do studiowania. Spotykam też wielu muzyków, którzy wiele potrafią, ale są zależni od kogoś innego, mogącego im pomóc w aranżacji za pomocą komputera bądź dodania elementów elektronicznych. Edukacja daje im możliwość, aby zrobić wiele rzeczy samodzielnie, bez ingerencji inżynierów i producentów. Chociaż w niektórych przypadkach, kiedy możemy pozwolić sobie na to finansowo, taki podział obowiązków jest korzystny, bo każdy zajmuje się tym, co umie najlepiej.

**Na co dzień pracujesz nad nowymi technologiami muzycznymi, piszesz na ten temat doktorat.**

– Jest kilka ciekawych zjawisk, definiujących współczesną muzykę. Przede wszystkim istnieje coś takiego jak kultura globalna, która już nie pozwala wyodrębnić jednego geograficznego miejsca, gdzie kształtuje się dana scena muzyczna, tak jak to bywało w latach 80. czy 90., kiedy mówiliśmy na przykład o grupach z Manchesteru czy Seattle. Teraz wszystko się zązębia, co jest jedną z najbardziej charakterystycznych rewolucji w muzyce współczesnej. Gusta muzyczne kształtują się dzisiaj przede wszystkim przez Internet, ale znaczenie ma także wpływ znajomych i serwisy społecznościowe, które wzmacniają wagę danego wydarzenia artystycznego. Wpływ prasy, telewizji i radia w znacznym stopniu zmalał. Internet oferuje też muzykom możliwość współpracy bez oglądania się na granice geograficzne. Fascynuje mnie z bardzo praktycznych względów możliwość nagrywania i komponowania w czasie rzeczywistym z ludźmi z całego świata i to właśnie badam naukowo.

**Jakiej muzyki słuchają Australijczycy?**

– Współcześnie mogą słuchać wszystkiego, ponieważ świat stał się bardzo otwarty. Na pewno słuchają tego, co się dzieje na świecie, ale jest też duże wsparcie słuchaczy dla ciekawych wykonawców lokalnych, co widać w bardzo dobrze rozwiniętych scenach „live” oraz klubowej. Z perspektywy swojej pracy zauważam też dużo utalentowanych osób, tworzących muzykę, oraz ich zainteresowanie dźwiękami elektronicznymi, które są później obecne w ich twórczości.

**Czy w Australii istnieje taki sam rodzaj konfliktu jak w polskich warunkach, gdzie z jednej strony dużą popularnością cieszyła się i wciąż cieszy muzyka disco polo, z drugiej strony jest ona pod każdym względem krytykowana za prostotę i banał.**



– Znam dylematy związane z disco polo, ponieważ był to gatunek popularny już w latach 90. W Melbourne nie zauważam jednak aż tak silnego podziału. Myślę, że najbliższymi zastępnikami muzyki disco polo w Australii są te najbardziej komercyjne odmiany muzyki dance, popu lub hip-hopu, silnie promowane i chętnie konsumowane w dużych ilościach, lecz często mające wątpliwe wartości artystyczne.

**Jak wygląda twój proces twórczy, bo zgaduję, że nie jest to robienie muzyki w tym tradycyjnym znaczeniu?**

– Obecnie jest bardzo społeczny i międzynarodowy, jako że współpracuję z wieloma muzykami właśnie poprzez Internet. Używam szeregu stacji roboczych audio oraz instrumentów elektronicznych. Oczywiście kiedy nie ma dostępnych żywych instrumentów, dość łatwo zastąpić je można elektroniką. Jednak istnieją sytuacje, gdzie lepiej użyć np. prawdziwej gitary niż sampli. Komponowanie i produkcja często się przenikają i dzieją równolegle. Jako producent pełnię w tym wszystkim rolę osoby nadzorującej i współpracuję z wieloma instrumentalistami oraz wokalistami. Co prawda kiedyś zabierałem się sam za jakieś rymowanki, powstał nawet jeszcze w Polsce utwór pod tytułem „Ciche szmery” o tym, jak się żyje w bloku, gdy słychać wszystkie głosy zza ściany. Próbowaliśmy wtedy swoich sił w melodeklamacji, ale jeśli chodzi o wokale prawdziwego zdarzenia, to wolę szukać ludzi, którzy potrafią to bardzo dobrze zrobić.

**Uważasz, że przyszłość muzyki będzie należała do producentów, a w mniejszym stopniu do instrumentalistów czy wokalistów?**

– Myślę, że to już jest teraźniejszość. Jeśli chodzi o sprawy medialne, to oczywiście mało się mówi na temat producentów muzyki. Na przykład w Szwecji jest taki producent Max Martin, który napisał i wyprodukował bardzo wiele hitów wykonywanych przez liczne boysbandy, Britney Spears, Bon Jovi etc. Inny przykład to norweski duet producencki o nazwie Stargate, który maczał palce w wielu bardzo znanych utworach R&B czy także na pośmiertnej płycie Michaela Jacksona. I oczywiście, mało kto ich zna. Tacy ludzie potrafią stworzyć swoje specyficzne brzmienia. Potęgą producentów jest ogromna, zarówno w branży bardzo komercyjnej, jak również oddolnych projektach. W tym drugim przypadku producent często zajmuje się pisaniem, graniem, nagrywaniem i wreszcie też produkcją. Dzisiaj pojęcie producenta jest bardzo pojemne.

**Współpracujesz z polskimi muzykami, jesteś znany w środowisku muzyki elektronicznej, ale niedawny koncert w Jazzanovie i podczas artystycznego wydarzenia „Park sztuki”, to były pierwsze publiczne występy w Polsce.**

– Chciałem, żeby to było w Białej Podlaskiej ze względów sentymentalnych. Dzięki temu na występach pojawiła się też moja rodzina i starzy znajomi. Koncerty w Białej były świetne, z pozytywną reakcją publiczności, ciepłem, oklaskami – naprawdę niezapomniane noce. Występy na żywo wiążą się jednak z dużym wysiłkiem energetycznym i czasowym, dlatego łatwiej jest mi robić muzykę w studiu, a później ją wydawać i promować przez Internet, np. klipy wrzucane do Youtube czy SoundCloud, jak również poprzez tradycyjne media jak radio czy telewizja. Jest to również pewien minus Australii – odizolowanie i odległość, która utrudnia częste podróżowanie. To zdecydowanie komplikuje większe zaangażowanie na niwie polskiej i europejskiej. Jest także czynnik pozytywny, ponieważ ostatnie rzeczy, które robiłem, były wydawane w portugalskiej wytwórni Discotexas, która jak pokazują reakcje mediów i sprzedaż, w Europie znana jest znacznie lepiej niż w Australii. W dzisiejszym świecie możesz wydawać, gdzie ci się podoba. ◀

# NIESPOKOJNY DUCH

tekst Edyta Tyszkiewicz  
foto Natalia Wołosowicz, archiwum

**Marek Wróbel, rocznik 76. Kiedyś białczanin, inteligentny i niepokorny licealista, zbuntowany muzyk rockowy. Dziś warszawiak zakochany w Krakowie, poprawny mąż i ojciec, doktorant filozofii oraz pisarz.**

Wiele lat szukał swojego miejsca na ziemi, dlatego teraz może poszczycić się kilkoma indeksami. W Białej Podlaskiej ukończył Akademię Wychowania Fizycznego. Studiował na Wydziale Jazzu na Akademii Muzycznej w Katowicach. Obecnie jest doktorantem na czwartym roku filozofii w Krakowie. – Pamiętam, że pytania natury poznawczej, epistemologicznej i kognitywistycznej towarzyszyły mi od 4. roku życia. Nieco głębiej z filozofią zetknąłem się kilkanaście lat temu. Wówczas pierwszym, porządnym szkolem był Kant. Potem przez wiele lat wyzwaliałem się, uważam, że na szczęście, spod jego wpływu. To pierwsze zetknięcie, pierwszy kontakt, gdy właściwie nie byłem jeszcze na to emocjonalnie przygotowany, był dla mnie na tyle silnym przeżyciem, że musiałem nabrać dystansu, przemyśleć wiele spraw. Dlatego wybrałem pragmatyczny, stojący mocno w posadach AWF. Do filozofii wróciłem dopiero po kilku latach – wyjaśnia Marek Wróbel i zapewnia, że nie żałuje tej decyzji. Uważa, że najwidoczniej taką drogę musiał przejść, by dojrzeć. – Mam wrażenie, że dopiero teraz normalnieję – śmieje się – a filozofia, to mój bardzo osobisty wybór. Wróbel obecnie pisze doktorat. – Podjąłem próbę uchwycenia człowieka w jego realnym wymiarze duchowym, ponieważ mam wrażenie, że obecnie żyjemy w epoce totalnego zaciemnienia duchowego i etycznego. Struktura duchowa człowieka jest zatarta, wypierana, a przecież człowiek nie składa się jedynie z neuronów. Ta praca jest dla mnie ważna z co najmniej kilku powodów, jednym z nich jest moja osobista sfera pytań – wyjaśnia.

## Muzycznie, imprezowo

Już w liceum Marek szukał odpowiedzi na wiele egzystencjalnych pytań, których nie bał się zadawać nauczycielom. Przez rówieśników postrzegany był często jako osoba kontrowersyjna i ktoś, kto uwielbia imprezować. Ludziom, którzy się z nim zetknęli, na pewno zapadał w pamięci. – To były szalone lata i faktycznie robiłem cuda. Do pewnego stopnia jestem świadomy, jak mnie w tamtym okresie odbierano. Trochę sobie na to zapracowałem – Marek bez zbędnych emocji wspomina tamte

czasy – ale też nie do końca to było prawdą. Ja już wtedy byłem człowiekiem refleksyjnym i ciągle toczyłem ze sobą dialog wewnętrzny. To było tylko kwestią czasu, kiedy ustalę jakiś mój punkt odniesienia do rzeczywistości i się w niej odnajdę. Jego miłością w tamtym czasie była gitara. – Na gitarze gram ponad dwadzieścia lat i wciąż nie mam dość – zapewnia Marek. – Kiedyś szarpałem druty, a później odkryłem jazz. Tak naprawdę przemawia do mnie wiele rodzajów muzyki, właściwie dźwięków, bardzo

różnych. Właśnie stąd ten wydział jazzu w Katowicach. Chciałem nieco opanować myślenie harmoniczne. Dwa miesiące temu białczanie mogli osobiście przekonać się o muzycznych umiejętnościach pisarza. – Podczas mojego ostatniego pobytu w Białej Podlaskiej zagrałem z białskimi muzykami dwa koncerty w lokalnych pubach – mówi Marek. Z przyjemnością wspomina Białą i czasem tu zagląda, równocześnie przyznaje jednak, że nie mógłby tu już mieszkać. – Biała to miasto,

w którym się wychowałem, w którym przeżywałem swoje sukcesy i porażki, chodziłem do szkoły. To miasto, które ma i będzie miało znaczenie. Mam tu rodzinę i znajomych, ale moje miejsce jest już gdzie indziej – uważa. **Czas krakowski i nie tylko** Miastem, które Marek Wróbel uznał za swoje, okazał się Kraków. Mieszkał tam wiele lat. – Kiedy przyjechałem do Krakowa, myślałem, że to tylko chwilowy przystanek, ale szybko zrozumiałem, że to nieprawda. Kraków tak mnie wciągnął, że przeżyłem w nim 7 lat. Po

ślubie, kiedy musiałem przeprowadzić się do Warszawy, wciąż miałem nadzieję, że wrócę do Krakowa. Niestety, okazało się, że nie jest to takie proste – opowiada. To właśnie w Krakowie publikowano wiersze Wróbla, kawałki prozy i nie tylko. To właśnie na ulicach tego miasta, w znanych sobie barach, białczanin umieścił akcję swojej pierwszej książki. Marek nie ma czasu na stałą pracę, zresztą – jak to sam określa – od budżetowego wyrobnictwa, woli prace zleczone. Ostatnio pisał scenariusze

do edukacyjnych produkcji filmowych. Oprócz doktoratu z filozofii zajmuje go też gotowanie i wychowywanie kilkumiesięcznego dziecka oraz praca nad kolejną książką. – Tę drugą chciałbym napisać bardziej serio, bo czuję się jeszcze kompletnie niewypowiedziany – pisarz niestety nie chce zdradzać więcej szczegółów. Za to chętnie mówi o swojej pierwszej powieści zatytułowanej „Apartament 23”.

## Nie tylko kryminał

Jak wyjaśnia autor, prace nad pierwszą książką trwały z przerwami dwa lata. Już w trakcie pisania wiedział, że będzie chciał ją wydać. – Jednak ostateczną decyzję podjąłem już po skończeniu powieści, kiedy to okazało się, że da się ją czytać – przyznaje Marek. Sam zadbał też o okładkę. – Projektowaniem zajmuję się na własne potrzeby. Jest to dla mnie kolejne działanie twórcze – mówi człowiek wielu zainteresowań. Mogłoby się wydawać, że „Apartament 23” to kryminał, ale autor zaznacza, że wątek kryminalny został użyty tylko po to, by nadać treść, jaką chciał przekazać, jakąś formę zrozumiałą dla szerszej grupy ludzi. – Ten wątek był pretekstem do pokazania pewnej poetyki. To, co chciałem powiedzieć w tej książce, jest powiedziane poza fabułą – Wróbel przyznaje, że o ile miał myśl przewodnią dokładnie sprecyzowaną, to samą fabułę tworzył niejako na bieżąco. – Niejednokrotnie, siadając do komputera, nie wiedziałem, co za chwilę napiszę. Jednak dbałem o to, by charakterystyka postaci, ich relacje między sobą i ze światem były spójne. Mam nadzieję, że mi się choć trochę udało. Na pewno napisałem książkę taką, jaką sam chciałbym przeczytać. Nie interesuje mnie literatura faktu. Oczywiście geniusz narracji opisze fakty we właściwych proporcjach i sens jest jak najbardziej osiągalny. Mnie jednak interesuje literatura, która niesie za sobą inną, głębszą treść, którą należy odkryć, odszyfrować, ponieważ nie da się jej wyrazić dosłownie. Metafora staje się tu nową treścią, nową semantyką, nową formą znaczeniową, która opisuje pewną, wypowiedzianą częstką istniejącego świata. Chciałbym, żeby w mojej książce czytelnicy odkryli to drugie dno. ◀



# DOŁKI W TRAWIE

tekst Edyta Tyszkiewicz, foto archiwum



Golf to sport elitarny, drogi i zapewne z tego głównie powodu mało znany. Okazuje się jednak, że w Białej Podlaskiej jest rodzina zakochana w golfie. Jej marzeniem jest, by ten sport stał się u nas równie popularny i dostępny jak w kraju, w którym go poznali.

**M**onika Walsh i jej brat Mariusz Ułasiuk z golfem zetknęli się w Irlandii. Dużo zasługi miał w tym mąż Moniki – Patryk Walsh, rodowity Irlandczyk i gracz w golfa. – Miałem 10 lat, kiedy zacząłem trenować. Trochę dzięki bratu, a trochę dzięki sąsiadowi, który był członkiem klubu golfowego w naszym mieście. On był takim człowiekiem, który zachęcał

dzieciaki do tego sportu – wspomina Patryk. – W Irlandii w golfa gra bardzo dużo ludzi. Tam golf i piłka nożna są tak samo popularne. Mariusz wrócił do Polski kilka lat temu, niedługo później namówił do przyjazdu siostrę i szwagra. – Przyjechaliśmy do rodzinnego miasta, bo chcieliśmy żyć trochę spokojniej. Poza

tym za chwilę powiększy nam się rodzina, a Biała Podlaska to dobre miejsce do wychowywania dzieci – uważa Monika. Przyznaje, że nie miała większego problemu, żeby namówić męża do zamieszkania w Polsce.

– Polacy ciągle pytają mnie, dlaczego przyjechałem do Białej. Dziwią się, bo uważają, że tu jest kiepskie miejsce do życia, a ja niczego nie żałuję – zapewnia Walsh. Szybko odnalazł się w naszej rzeczywistości. Uczy języka angielskiego w prywatnych szkołach. – Polacy i Irlandczycy są do siebie trochę podobni, szczególnie w tym narzekaniu na miejsca, w których mieszkają – ze śmiechem dodaje.

### Był się nie nudzić

Oboje Walshowie i najbliższa rodzina Moniki należą jednak do tych, którzy nie lubią narzekać. Od początku szukali możliwości uprawiania swojego ukochanego sportu na miejscu. – Niestety w Polsce golf wciąż jest bardzo elitarny i drogi – mówi Mariusz. – To prawda – dodaje Patryk. – Najbliższe miejsce, gdzie można uprawiać golf, to Warszawa, a tam za grę płaci się 200 złotych. W Irlandii też tak kiedyś było, ale po kryzysie gospodarczym wszystko się zmieniło. Teraz każdy może pozwolić sobie na uprawianie tego sportu. – Nawet podstawowe wyposażenie jest na każdą kieszeń, a opłaty

za wynajem pola są groszowe – wtóruje szwagrowi Mariusz.

Szukając możliwości gry, panowie wpadli w końcu na świetny pomysł. – Okazało się, że u dziadków w Romaszkach, niedaleko Białej, jest spory teren, z którym fajnie byłoby coś zrobić, więc czemu by nie pole golfowe? Rodzina się zgodziła – wspomina Mariusz.

Panowie na grę namówili też innych członków rodziny. – Tata bardzo się w to wciągnął. Właściwie już w Irlandii bacznie obserwował grę w golfa, jednak wcześniej nie próbował. Dopiero tutaj – opowiada Monika. Ona w golfa zaczęła grać jeszcze w kraju swojego męża i – jak mówią panowie – świetnie sobie radzi. Obecnie może się tylko przyglądać, ale obiecuje, że po porodzie wraca do gry. – Świetnie radzi sobie też nasza ciocia, chyba lepiej niż wujek – śmieje się Mariusz.

Początkowo rodzina myślała o tym, by stworzyć miejsce do gry tylko dla siebie, ale w miarę posuwania się prac, zaczęli zauważać ogromny potencjał tego terenu i myśleć o przyszłym biznesie. – Biała jest tak otwarta na nowości, więc myślimy, że byłoby spore zainteresowanie takim spędzaniem wolnego czasu – Mariusz jest pełen energii i nowych pomysłów. – Mamy świetne zaplecze i chcemy działać.

#### Praca w pocie czoła

Na terenie, którym dysponuje rodzina, jest spora łąka i lasek, który już jest zaaranżowany pod grę w golfa.

Rodzina myśli też o dokupieniu kilku hektarów. Póki co można korzystać tylko z połowy terenu. – Trzeba kilku lat, żeby dobrze przygotować cały teren. O część zadbał w tamtym roku. Na wiosnę zasialiśmy trawę na drugiej połowie łąki. Musimy czekać rok, zanim będziemy mogli wejść na to pole z kijami – wyjaśnia Mariusz.

Trawa, jaką wybrali pasjonaci golfa, używana jest na boiskach piłkarskich. Teraz trzeba ją odpowiednio pielęgnować, utwardzać, przycinać. – Dowiedzieliśmy się, że właśnie taka trawa jest najodpowiedniejsza w naszym klimacie – dodaje Mariusz. – Pielęgnacja dołków to odrębna sprawa. O nie trzeba dbać codziennie, tam powierzchnia musi być gładziutka jak stół. Póki co zajmuje się tym tata.

Patryk wyjaśnia, że w Irlandii na polach golfowych pracują ludzie, którzy codziennie dbają o jakość pola. – My musimy to robić sami – mówi Patryk. Zdaje sobie sprawę, że przed nimi jeszcze sporo pracy i niestety nakładów finansowych, jednak cieszy się, że już teraz może zażywać relaksu na swoim własnym polu golfowym. Co prawda na razie jest bardziej przygotowane pod trening niż pod rozgrywanie meczy.

– Z racji tego, że tak dużo pracy wymaga pielęgnacja dołków, teraz chcemy bardziej skupić się na dobrym przygotowaniu pola do treningów, czyli do nauki precyzyjnego wybijania piłki na różne odległości –



wyjaśnia Mariusz.

Przyszli biznesmeni w planach mają wykopanie niedużego stawu i zbudowanie mostku nad rowem dzielącym pole. To wszystko konieczne jest, by gra przebiegała profesjonalnie i według zasad. – Całe szczęście nie musimy sadzić lasu, który jest doskonałą „przeszkodą”, urozmaicającą grę – mówi Monika. – Jest taka zasada, że jak się trafi piłką do lasu czy stawu, to dostaje się punkty karne.

Według Moniki, główną filozofią gry w golfa jest nauka myślenia strategicznego: – Żeby idealnie trafić w dołek, trzeba wziąć pod uwagę masę czynników: prędkość i kierunek wiatru, siłę i sposób uderzenia, wilgotność podłoża, rodzaj kija.

– A nawet rodzaj obuwia – dodaje Patryk. Okazuje się, że buty, a właściwie ich podeszwę, dobiera się w zależności od warunków pogodowych.

#### Rozmowy z kijem w dłoni

Dla Patryka golf to nie tylko gra pomagająca utrzymać kondycję. To też możliwość spędzenia czasu na świeżym powietrzu, a przede wszystkim możliwość spotkania się z znajomymi i trwające kilka godzin

rozmowy. – W moim kraju bardzo dużo małżeństw gra ze sobą. Często są to jedyne chwile, kiedy mogą być razem – mówi Walsh.

Z kolei dla Mariusza golf to przede wszystkim sport i prawdziwy relaks, ale – jak przyznaje – także nauka precyzji i praca nad sobą. – Wygrane są już mniej ważne – zapewnia.

Wszystkie akcesoria do gry panowie przywieźli sobie z Irlandii, ale przekonują, że przez Internet można kupić pełne zestawy w całkiem przystępnej cenie.

Patryk ma 14 kijów. – Z racji tego, że mój mąż jest wysoki, musiał zamawiać sobie dłuższe kije, ale mój brat i tata mają już standardowe. Są też specjalne kije dla dzieci – dla Moniki i Patryka to ważna kwestia, bo chcieliby, żeby ich dziecko od najmłodszych lat oswajało się z polem golfowym. W Irlandii dzieci zaczynają grę w golfa w wieku trzech, czterech lat.

Monika, Patryk i Mariusz mają nadzieję, że uda im się zaszczepić golfowego bakcyła wśród swoich znajomych i mieszkańców naszego miasta. Są pełni zapału i nie mogą doczekać się, kiedy będą mogli udzielać lekcji pierwszym chętnym. ◀

# MODRZEW BUDZI DO DZIAŁANIA

tekst Joanna Olęcka, foto Barbara Dąbek

Wiele przedsiębiorstw, stowarzyszeń i różnego rodzaju organizacji pozarządowych powstaje z potrzeby serca i szlachetnych pobudek, a w centrum zawsze znajduje się człowiek. Obaw przed takim krokiem może jednak nastęrczać pytanie, czy angażując się w biznes społeczny, jesteśmy pozostawieni sami sobie w gąszczu zawyłych procedur i ekonomicznych pułapek? Niekoniecznie. Stowarzyszenie na rzecz Integracji Społecznej Modrzew jest nadzieją na powodzenie wszelkich inicjatyw obywatelskich.

Ekonomia społeczna to temat trudny z wielu powodów, wiele organizacji upada zanim zdąży się solidnie umiejscowić na obecnym, wymagającym rynku. Udało się to niewątpliwie Stowarzyszeniu na rzecz Integracji Społecznej Modrzew, które działa od 2008 roku. Choć swoją siedzibę ma w Świdniku, to działa także w Białej Podlaskiej w ramach projektu Ośrodka Wsparcia Ekonomii Społecznej, stając się podporą rodzających się spółdzielni socjalnych i organizacji pozarządowych.

#### Wsparcie kiełkujących inicjatyw

Niewielkie biuro i dwoje zamiejscowych pracowników wystarczy, by zasiać ziarno nadziei w społecznych organizacjach, stawiających pierwsze kroki w biznesowej rzeczywistości. W ramach OWES Modrzew realizuje szereg zadań wspierających takie właśnie kiełkujące podmioty. Przede wszystkim oferuje kompetentną pomoc merytoryczną i wsparcie w postaci wiedzy, profesjonalnych doradców, doświadczenia oraz dobrych praktyk. Stowarzyszenie zajmuje się też organizacją specjalistycznych szkoleń z zakresu zarządzania, pozyskiwania nowych źródeł finansowania oraz profesjonalnym doradztwem w dziedzinie marketingu, promocji i doradztwa zawodowego. Z jego oferty skorzystało wiele organizacji z Białej Podlaskiej i okolic. Zaliczyć do nich można choćby Koło Białczan, Stowarzyszenie



Iskra, Białą Spółdzielnię Socjalną Progres czy Krainę Rumianku z Hołowna. **Profesjonalna pomoc** Spółdzielni Progres Modrzew pomógł stworzyć profesjonalną stronę internetową wraz ze sklepem oraz zapewnił pełne wsparcie marketingowe, co zapoczątkowało dynamiczny rozwój tej organizacji. Nieocenione wsparcie zapewnił też Stowarzyszeniu Iskra - Zapalamy do działania, którego głównym celem jest stworzenie Dziennego Ośrodka Młodzieżowego w Białej Podlaskiej. - Z Modrzewiem współpracujemy stosunkowo krótko, ale pomoc, jaką uzyskaliśmy jest bezcenna. Dzięki doradcy Barbarze Dąbek wypracowaliśmy wspólną dla całego stowarzyszenia wizję, którą następnie zweryfikowaliśmy w trakcie spotkań warsztatowych. Przeprowadziliśmy analizę wewnętrzną naszej organizacji

oraz analizę otoczenia, która w formie SWOT posłużyła do identyfikacji działań i opcji strategicznych, aby na ich podstawie powstał kierunek rozwoju D.O.M. - wyjaśnia Agnieszka Kaliszuk ze Stowarzyszenia Iskra. Obecnie wynikiem współpracy z Modrzewiem jest przystąpienie Iskry do projektu „Spółdzielnia socjalna twoją szansą” współfinansowanego przez Unię Europejską.

#### Wymierne efekty

Pełne zaufanie dla działań Modrzewia ma także prezes wioski tematycznej Kraina Rumianku Gabriela Bilkiwicz. - Od kilku lat korzystamy z oferty szkoleniowej, która jest bardzo bogata i przydatna w działalności naszego przedsiębiorstwa - zapewnia Gabriela Bilkiwicz, przyznając, że trudno wymienić wszystkie usługi, z jakich skorzystała Kraina Rumianku. - Chyba największe efekty przyniósł udział w Międzypokoleniowej Szkole Fundraisingu w 2012 i 2013 roku. Uczestnictwo w tym programie przełożyło się na konkretne wyniki finansowe i nawiązanie kontaktów z biznesem.

Obecnie stowarzyszenie z Hołowna korzysta z wygranego grantu na promocję podmiotów ES, dzięki któremu została utworzona i sfinansowana nowa strona internetowa, a także doradztwo coacha. - Dowiedzieliśmy się także o możliwości bardzo korzystnej pożyczki z TIŚE, dzięki



czemu mogliśmy wykonać termomodernizację Ośrodka Edukacji Regionalnej. Teraz możemy funkcjonować przez cały rok, do tego w wyższym standardzie - cieszy się prezes Krainy Rumianku.

#### Nie jest im wszystko jedno

O sile i skuteczności Modrzewia świadczy zgrany zespół specjalistów. To niewątpliwie ludzie społecznie zaangażowani, dla których praca to coś więcej niż zarabianie pieniędzy. Każdego dnia udowadniają, że połączenie wrażliwości społecznej z wysokimi kompetencjami może dawać spektakularne efekty. Jak wyjaśnia Paweł Narodowicz, prezes i założyciel stowarzyszenia, Modrzew tworzy piętnastu członków. Tym ludziom nie jest wszystko jedno. - Uważamy, że można mieć realny wpływ na otaczającą nas rzeczywistość i wcale nie trzeba angażować się w politykę, można po prostu być aktywnym - zapewnia Narodowicz. W Modrzewiu udzielają się ludzie, którzy pracują zawodowo w różnych przedsiębiorstwach, administracji oraz „pozarządowce”. Połączenie tych trzech sektorów w jednej organizacji daje ciekawe spojrzenie na rzeczywistość i pomysły na rozwiązania wielu problemów społecznych. Zespół Modrzewia wydaje także kwartalnik „Praca zamiast sążółki”, w którym opisywane są ciekawe rozwiązania w zakresie NGO i podmiotów ekonomii społecznej, a także pokazywane są tzw. dobre praktyki w działających już organizacjach.

#### Idea Modrzewia

Bezrobocie - podkreśla Narodowicz - jest jednym z większych problemów nie tylko społecznych, ale i gospodarczych, co w efekcie doprowadza do zubożenia całego społeczeństwa. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak można skutecznie walczyć z bezrobociem. Szkoląc osoby bez pracy i doradzając im? Pewnie też jest to potrzebne, ale ogromna liczba bezrobotnych została już skutecznie przeszkolona z wielu dziedzin, przekwalifikowana, a rynek pracy i tak ich jakoś niedostatecznie zago-



spodarowuje. Zastanawialiśmy się też nad brakiem miejsc pracy i rozważali, czy nie skupić się na ich tworzeniu. Na to właśnie ostatecznie się zdecydowaliśmy, ale koncentrujemy się na miejscach pracy w obszarach pomagających innym ludziom, czyli w ogólnie pojętym sektorze pozarządowym. Prezes Modrzewia wyjaśnia, że on i jego

współpracownicy wychodzą z założenia, że dla prawidłowego funkcjonowania społeczności, obok administracji publicznej i firm prywatnych, muszą istnieć stabilne i wiarygodne organizacje pozarządowe.

- W Polsce jest ok 100 tys. takich organizacji. Praktycznie wszystkie pomagają jakiemuś odbiorcy - rozwijają sport, zajmują się hobby, rozwijają kulturę, wpływają na rozwój regionalny, pomagają osobom niepełnosprawnym czy ubogim. Te wszystkie działania to ogrom potencjalnych miejsc pracy, pracy nie tylko społecznej, która jest bardzo ważna, ale także pracy płatnej - mówi prezes Narodowicz. By jednak organizacje pozarządowe mogły tworzyć miejsca pracy, niezbędne jest ich ustabilizowanie się, także finansowe.

#### Pieniądze to nie wszystko

Modrzew posiada cztery podstawowe źródła finansowania: darczyńcy indywidualni i biznesowi, granty i dotacje oraz działalność gospodarczą. Warto zauważyć, że przychody z prowadzonej przez stowarzyszenie działalności gospodarczej, w postaci nadwyżki są przekazywane

jako pomoc np. w ramach Odlotowego Funduszu Stypendialnego na wypłatę stypendiów dla zdolnych dzieci z ubogich rodzin. Praca w organizacji jak Modrzew - co podkreślają jej pracownicy - daje mnóstwo satysfakcji i poczucie dobrze spełnionego obowiązku względem siebie, ale przede wszystkim społeczeństwa. ◀

# W ATELIER

Tekst Katarzyna Fronc  
Foto Angelika Żeleźnicka

Sylwia Reda to zdolna projektantka, która pierwsze kroki w branży modowej z powodzeniem stawiała w programie Xymeny Zaniewskiej „Stawka większa niż szycie”. Wtedy zaczęła realizować swoje marzenia. Po latach pracy w zawodzie projektanta ubioru otworzyła w Białej Podlaskiej atelier, by – jak mówi – zacząć pracować pod swoim nazwiskiem i na własny rachunek.

Atelier Sylwii Redy powinny odwiedzić te białczanki, które chciałyby mieć w szafie skrojoną na miarę garsonkę albo jedyną w swoim rodzaju suknię wieczorową. Reda szyje wszystko – od bielizny i dodatków, przez stroje codzienne, wieczorowe, suknie ślubne, po płaszcze.

#### Urodzona konstruktorka

Jak wspomina Reda, nożyczki miała w rękach od najmłodszych lat. – Mama opowiadała mi, że jako małe dziecko z różnych szmatek wycinałam ubranka dla lalek, ale już w formie szablonów. Zresztą, miałam dobry wzór do naśladowania, bo moja mama też szyła, a ja się przyglądałam, jak to robi – opowiada. Edukację w kierunku zawodu, jaki wykonuje, rozpoczęła od technikum odzieżowego w rodzinnym mieście. Szkoła nie do końca spełniła jej oczekiwania. – Większość rzeczy już potrafiłam, bo byłam samoukiem – przyznaje Sylwia. Już wtedy wiedziała, czego chce. Jako 17-latkę zgłosiła się do telewizyjnego programu „Stawka większa niż szycie”, w którym znana projektantka mody Xymena Zaniewska oceniała umiejętności uczestników. Młodziutkiej Sylwii udało się zająć drugie miejsce w tym konkursie. Nagroda miała nie tylko wpływ na egzamin zawodowy, ale przede wszystkim utwierdziła dziewczynę w przekonaniu, że wybrała dobrą ścieżkę zawodową. – Pamiętam, że pierwszy pokaz zorganizowałam w Klubie Kultury Eureka – uśmiecha się na to wspomnienie projektantka. Potem przyszedł czas na studia. – Projektowanie kończyłam w Kielcach. Poza tym ciągle się doszkałam, bo moda się zmienia, trzeba podążać za trendami. Taka wiedza w moim zawodzie jest niezbędna – podkreśla Reda.

#### Pod własnym szyldem

Przez siedem lat pracy w stolicy, Reda nabrała doświadczenia. Poznała branżę fashion – jej blaski i cienie – i zdecydowała o powrocie do rodzinnego miasta. Wiele czynników miało na to wpływ. – Dostałam unijną dotację i postanowiłam zaryzykować. Poza tym w Warszawie jest goniłwa szczurów. Nie ma czasu dla rodziny, bo od rana do wieczora trzeba pracować – wyja-



śnia Sylwia. Prawie nie widywała dziecka, bo wracała o 22.00.

– Oprócz pracy na etacie, przygotowywałam swój pokaz – wspomina Reda. Współpracowała z różnymi projektantami i stylizowała sesje modowe. Dzięki temu zdobyła cenne doświadczenie, m.in. w sieciówce Simple czy u boku Izabeli Łapińskiej. Ubięrała gwiazdy polskiego kina i estrady, m.in. Małgorzatę Foremniak, Justynę Steczkowską czy Agatę Buzek. – Do mnie może przyjść każdy. Teraz często odwiedzają mnie panie, które pracują w biurach czy urzędach i chciałyby trochę inaczej wyglądać, wyróżnić się czymś. Ostatnio szyłam też sporo dla mam weselnych.

Biała projektantka przyznaje, że przełomowym momentem w zawodowej karierze jest otwarcie atelier. – To spełnienie marzeń z dzieciństwa – mówi.

Póki co Sylwia robi wszystko sama, ale niewykluczone, że w miarę rozwoju firmy, będzie chciała kogoś zatrudnić.

Reda to nie tylko projektanta. To także stylistka. – Analizuję sylwetkę, proporcje ciała, by zaproponować klientce najlepszy wariant

ubioru. Dobieram także kolory. To ważne, bo kobiety często nie wiedzą, jakie kolory do nich pasują, w jakich korzystnie wyglądają – zauważa. – Robię też przegląd szaf, chodzę na zakupy z klientkami. Często na te usługi decydują się panny młode przed swoimi wieczorami panieńskimi. Sylwia przekonuje, że nie trzeba wymieniać całej garderoby, by wyglądać trochę inaczej. – Wystarczy ją odświeżyć – zapewnia. – Ubrania można przecieć odnowić, przerobić, dodać jakieś aplikacje...

#### Wyjść z inicjatywą

Reda przyznaje, że zdaje sobie sprawę, że Biała Podlaska nie jest przygotowana na to, co proponuje. – Myślę jednak, że pomału to się zmieni. Że klientki przekonają się, że warto czasem zafundować sobie coś niebanalnego, nie z sieciówki. Wierzę, że także analiza kolorystyczna, którą wykonuję, znajdzie zainteresowanie. Kobiety są otwarte na takie pomysły – uważa Reda.

Projektantka raz w miesiącu organizuje w swoim atelier spotkania dla klientek. – Zapraszam wtedy dietetyków, brafitterkę, kosmetyczkę, po

to, żeby kobiety mogły dowiedzieć się czegoś przydatnego, a przy okazji zrelaksować. Do mnie nie przychodzi się wyłącznie po ubrania – wyjaśnia Sylwia i dodaje, że w pełni rozumie potrzeby kobiet. – Chodzi też o to, żeby podarować sobie odrobinę luksusu.

Reda nie tylko dba o swoje klientki, ale też zajmuje się wieloma innymi rzeczami – przygotowuje kolejną kolekcję, szyje dodatki i szuka na nie odbiorców. Bez wątplenia nie siedzi z założonymi rękami. Oryginalne kołnierzyki wysyła do butików w Niemczech i do indywidualnych klientek. Równocześnie przygotowuje projekty sukien ślubnych i rozsyła po firmach, szukając kontrahentów, oraz realizuje zamówienie od firmy jubilerskiej. – Mam uszyć kilkanaście sukienek dla sprzedawczyń, które mają eksponować biżuterię – wyjaśnia i przyznaje, że o takie zlecenia trzeba samemu zabiegać. – Trzeba wyjść z inicjatywą, dzwonić, szukać – uważa przedsiębiorcza i pomysłowa projektantka. Reda nie boi się marzyć. – Chciałabym mieć butik w Paryżu – przyznaje z uśmiechem. Wierzy, że ciężką pracą, ale i przy odrobinie szczęścia, to marzenie może się ziścić. ◀

# KWIATY, KWIATKI, KWIATUSZKI

Tekst, stylizacje **Wiola Łęczycka**  
 Modelki: **Wiola Łęczycka, Ola Matvijczuk**  
 Foto **Angelika Żeleźnicka**

**Kwiaty kwitną dosłownie wszędzie: na łąkach i w ogrodach, ale teraz także na ubraniach – damskich i męskich. To jeden z najgorętszych trendów na lato 2014.**

**R**oślinki zakwitły na koszulach, marynarkach, sukienkach, spódnicach, spodniach, legginsach i tunikach, ale także butach i dodatkach: naszyjnikach, pierścionkach i bransoletkach. Jeśli chodzi o deseń, mamy tu szeroki wybór: futurystyczne wzory kwiatowe lub wypukłe kwiaty, te drobne, prosto z łąki, porcelanowe niczym z eleganckiej filiżanki, a także duże jakby rodem z komiksów.

To kolejny sezon, kiedy ten wiosenny trend dominuje na naszych ubraniach. Warto zaopatrzyć się choćby w jeden kwiecisty element garderoby, który będzie nam służył kilka sezonów i pozwoli nadać charakter naszej stylizacji.



Wielu znawców mody proponuje nam total look, czyli łączenie ze sobą kilku wzorów kwiatowych. Pamiętajmy wtedy, żeby nie „przesłodzić” naszej stylizacji. Bezpieczniej jest postawić na jeden kwiecisty element stroju, na którym będziemy bazować, i dobrać do niego jednolite, gładkie kolory. Istotny jest także wzór – należy pamiętać, że te duże pogrubienia, dlatego nakładajmy je na te części ciała, które chcemy podkreślić. Z kolei małe wzorki (najlepiej na ciemnym tle) pozwolą nam ukryć niedoskonałości figury. Jednak najważniejsze jest, aby czuć się dobrze we własnym ciele ubranym w kwiaty. ◀





rys. Julia Młodzianowska  
Koło Plastyczne Kreska

## GĄSIENICA I MOTYL



foto Natalia Wobosowicz

Jacek Daniluk

Gąsienica sobie była,  
która bardzo szybko tyła.  
Naśmiewały się owady,  
że jest gruba do przesady.  
I choć wszystkim pomagała,  
to przyjaciół coś nie miała.  
Jeszcze więcej z żalu jadła,  
przybywało jej więc sadła.  
Gdy zniknęła dnia pewnego,  
nie zasmucił się nikt z tego.  
Wszyscy biegli na polanę,  
bo tam przybył ktoś nad ranem.  
To był motyl tak wspaniały,  
że owady oniemiały.  
W słońcu mienił się barwami.  
- Może zechcesz zostać z nami?  
Głos aż łamał się biedronce:  
- Zaszczyt gościć Cię na łące,  
naszą przyjaźń Ci daruję.  
Motyl odrzekł: - Nie! Dziękuję!  
Wasza przyjaźń nic nie warta,  
na urodzie jest oparta.  
To ja byłem - mogę przysiąc-  
ową tustą gąsienicą.  
Najważniejsze wam walory  
to są kształty i kolory.  
Motyl uniósł się nad rzeką  
i odleciał gdzieś daleko.

To jest przykład, że uroda  
zmienna jest jak w rzece woda.

## RYCZĄCE CZTERDZIESTKI

Sierpień to miesiąc moich urodzin. W tym roku czterdziestych drugich. - I czym tu się chwalić? - powie zapewne wiele pań w podobnym wieku, a ja sobie myślę, a czemu by się nie chwalić. Ja naprawdę dopiero tak przy czterdziestce poczułam, że żyję dużo pełniej niż wcześniej. Generalnie, czwórka to moja szczęśliwa liczba. Mam znajome, które zgadzają się ze mną. Czerpią z życia, zaczynają naukę języków, szkołę się, czynnie uprawiają sporty, jeżdżą na koncerty, no i bawią się. Oczywiście nie tak często jak kiedyś, ale jednak chętnie w babskim gronie wychodzą na drinki, dancingi, a nawet dyskoteki (ja chodzę, a nawet zabieram czasem moją supercioteczkę tuż po pięćdziesiątce). Akurat tej rozrywki to u nas dostatek. Są lokale, gdzie w piątkowe i sobotnie wieczory po parkietach pląsają niezamordowani czterdziestki plus, nie oglądając się na to, co inni powiedzą. Niestety znam też wiele kobiet, które na każdym kroku potrafią wypomnieć człowiekowi wiek, policzyć, co wypada, a co nie, czego nie powinno się nosić, gdzie nie powinno się chodzić, czym nie powinno się interesować itd. A już kiedy słyszą, że wyprawia się huczną czterdziestką robią wielkie oczy - No wiesz... W tym wieku, to raczej trzeba ukrywać, ile się lat kończy! Albo: - No nie wiem, z czego tu się cieszyć! Gdy słyszę takie słowa, zastanawiam się, dlaczego dla nich tak wcześniej skończyło się życie. Dlaczego same, na własne życzenie, zamykają oczy na to, co przyjemne. Dlaczego w ich głowach zaczęła

się starość? Zapewne nie każdy wie, że według naukowców (są pewne niewielkie wahania w jedną lub drugą stronę) młodość kończy się ok. 35. roku życia, a starość zaczyna dopiero po 62. roku. A ten środek drogie panie, to podobno najlepszy wiek dla kobiet, nie zakładajcie więc babcinych sukienek, nie róbcie sobie trwałe ondulacje, nie zamykajcie się po pracy w domach, nie ograniczajcie się na własne życzenie! Cieszcie się, póki jeszcze niewiele boli i niewiele w nas skrzypi. Oczywiście, nie jest też super różowo. Skóra nie jest taka jak dawniej i wzrok nieraz szwankuje, a może to ręka robi się za krótka - jednak nie warto się tym przejmować. Mówiąc krótko - trzeba się realizować! Kilka dni przed moimi czterdziestymi urodzinami ukazała się moja pierwsza książka - wysłanie jej do kilku redakcji kosztowało mnie sporo odwagi. W tym samym roku zawzięłam się w sobie i nauczyłam się pływać - tu odwagi potrzebowałam kilka ton. Zaraz po 41. urodzinach odważyłam się podjąć pracę jako dziennikarka w „Pryzmacie”, co było dla mnie całkowitą nowością i skokiem na głęboką wodę. W tym roku, pierwszy raz w życiu, zupełnie sama wyruszyłam pociągiem nad morze i nie zgubiłam się na obcych dworcach. No i na koniec znów podjęłam pracę, o której nie miałam zielonego pojęcia, ale zawzięłam się, staram się i mam nadzieję, że z każdym dniem będzie coraz lepiej. W moim życiu po czterdziestce zdarza się



foto Angelika Żeleznicka

Edyta Tyszkiewicz

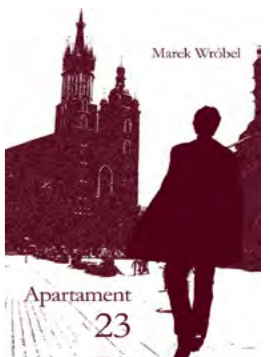
wiele i pewnie jeszcze nieraz sama siebie zaskoczę. Mam nadzieję, że czeka mnie jeszcze kilka superkoncertów, lot szybowcem i wakacje na Antarktydzie. A póki co, jeśli wierzyć różnym babskim poradnikom, to do pełni szczęścia brakuje mi tylko młodego, przystojnego kochanka. Ale może nic straconego, bo jak powiedział mi pewien mocno leciwy pan, którego spotkałam niedawno na spacerze z Grace: - Takie spacerzy z psem to fajna sprawa, można poznać jakiegoś mężczyznę, lepszego od męża... Tego wszystkiego, a nawet jeszcze więcej w dniu swoich 42. urodzin i Wam, drogie białczanki, życzę. ◀

## APARTAMENT 23

Apartment 23 to niewielkich rozmiarów, bogata w treść książka Marka Wróbla, pisarza pochodzącego z Białej Podlaskiej. To, co w tej pozycji rzuca się w oczy już od pierwszych zdań, to niemalże poetycki, wysmakowany język, który często jest przez pisarzy zapomniany, szczególnie w takim gatunku jak kryminał czy sensacja. Niezwykle podoba mi się też klimat powieści, filozoficzny ciąg myśli dotyczących istnienia człowieka „tu i teraz” w wymiarze cielesnym i duchowym, a nawet bardziej duchowym. Wszystko to wplecione w historię sensacyjną, taką, której zakończenie chce się poznać. Oczywiście nie jest to książka dla tych, którzy uwielbiają przebiec przez jakąś historię niemalże bez tchu, z wypiekami na twarzy, nie mogąc doczekać się końca. Przy „Apartamencie 23” czasem trzeba się zatrzymać, przepuścić przez zwoje mózgowe jakieś zdanie, przemielić je, by lepiej zrozumieć, ale to wcale nie znaczy, że książka jest trudna. Nie jest, ale na pewno nie każdemu taka konwencja będzie odpowiadała. Główny bohater to Wiktor, człowiek w bliżej nieokreślonym wieku (a może tylko ja tego nie

odkryłam). Wiktor poznajemy na takim etapie jego życia, kiedy to właściwie nie robi nic. Nic poza szlafkami się po krakowskich knajpkach i picciem. Tam spotyka ludzi, których tak jak i jego wciąż los prowadzi do tych samych miejsc, tych samych twarzy, tych samych opowieści. I właśnie w takiej chwili, między jedną wiśniówką a drugą, między jednym kaczem a następnym Wiktor dostaje esemesa od swojej młodej kuzynki Moniki: „WIKTOR RATUJ...”. Wiktor czuje, że dzieje się coś bardzo złego. Cóż z tego, kiedy jakoś nie może uwolnić się od picia. Nie może wykrzesać z siebie tej odrobiny energii, która potrzebna jest do logicznego myślenia. W zamroczeniu wie, że powinien działać, ale przecież znów wstąpił tylko na jednego... Niemalże w tym samym momencie opowieści spostrzegamy też piękną blondynkę, która szepem podaje zauroczonemu nią Wiktorowi tylko adres - Szewska, Apartament 23. Bardzo kuszące, ale czy Wiktor nie wymyślił sobie tej kobiety, czy nie była ona wytworem jego przepitej wyobraźni? Jednak to jest ten moment przełomowy, w którym bohater mierzy się z samym sobą. Wziąć się w garść i działać - odnaleźć kobietę ze snu i dowiedzieć

się, co stało się z kuzynką. Jest to też ten moment, kiedy wdeptuje w bardzo niebezpieczną afere. Dużym atutem powieści są mocno zarysowane, charakterystyczne postaci. Ja szczególnie upodobałam sobie barperwerę Zofię, kobietę, którą można spotkać w każdym mieście. Przesadną, wulgarną, nadmierne pijącą, tęskniącą za odrobiną szczęścia u boku kolejnych narzeczonych. Cieszę się, że wciąż plątała się gdzieś na obrzeżach historii Wiktora. „Apartament 23” to według mnie też opowieść o miłości dwojga z pozoru obcych sobie ludzi, miłości kiełkującej, która w końcu musi się zdarzyć. „Apartament 23” to również opowieść o samotność człowieka, której wielu doświadczyło, będąc wśród swoich ledwo znajomych. Kiedy to patrząc na nich myśleliśmy: Co ja tu robię, po co i czy w ogóle mnie to bawi? ◀



KSIĄŻKA

# BOHATEROWIE BIALSKICH ULIC

POZNAJMY NASZE MOŻLIWOŚCI

## BRUDNY JĘZYK

Z przykrością patrzę, a raczej słyszę, jak zepsuł się nasz sposób porozumiewania się. Dotąd wydawało mi się, że przeklinają tylko mało wykształceni ludzie, margines społeczny czy po prostu źle wychowani. Coraz częściej jednak także pozostałe grupy społeczne. Pewien niesmak czułam ostatnio, będąc z rodziną w restauracji, gdzie z sąsiedniego stolika dochodziły co chwila nieczuralne zwroty. Przeszkadzało mi to szczególnie ze względu na obecność chłonnego uszu mojej 3-letniej córki, która jest na etapie przyswajania wszelkich nowych słów. Nie chciałabym, aby za chwilę recytowała zasłyszane obok przekleństwa. Podobnego zgorszenia doznaje wiele osób, które miały okazję przysłuchiwać się rozmowom dzieci i młodzieży szkolnej. Nie dziwi już nawet fakt, że wulgarnie wysławiają się dziewczyny. Mnie wychowywano w przekonaniu, że kobietom to nie przystoi, ale już w podstawówce moje doświadczenia zweryfikowały koleżanki o bardzo ostrym języku. Taka komunikacja wśród gimnazjalistów jest dzisiaj niestety na porządku dziennym u obu płci. Wulgaryzmy zadomowiły się w naszej mowie. Słychać to w sklepie, w autobusie, w pracy, w szkole... Winnych takiego zepsucia upatruje się oczywiście w domu rodzinnym, gdzie dzieci uczą się wszystkiego. Z pewnością przeklinający rodzic jest przykładem, który młodzi ludzie powielają. Uważajmy zatem na to, co mówimy, nawet w nerwach, bo maluchy jak gąbka nasiąkają tym, co słyszą. Wydaje się, że w zabawie nie dociera do nich kłótnia, rozmowa czy film w telewizji, ale to złudzenie. Dzieci wszystko rejestrują i w najmniej oczekiwanym momencie puszcza wiązanek zapożyczoną z któregoś z tych źródeł. Nie tylko rodzina i jej zwyczaje są jednak polem do nauki. Szkoła to dopiero poligon, gdzie aby przetrwać, trzeba się dostosować. Często niestety standardy grupy rówieśniczej, którym trzeba dorównać, nie są najlepsze. Jeśli jest to właśnie przeklinanie, to szybko wchodzi ono w repertuar zachowań młodzieży i staje się normą. Poza środowiskiem szkolnym jest jeszcze telewizja, Internet, gry – źródła pełne treści winnych zepsuciu nie tylko języka. Trudno je w pełni kontrolować, żeby ustrzec rodzinę przed ich złym wpływem. Jednak już nawet wśród elity politycznej pojawiają się wulgarnie zwroty. Niełatwo przekonać młodego człowieka, że słowo jest

przekleństwem i nie wypada go używać, jeśli pada z ust kogoś uważanego za autorytet, kto wypowiada się publicznie, jest powszechnie znany i szanowany. Dopóki każdy z nas nie będzie pilnować języka, którego używa, nie ma szans, aby się nie psuł. Jeśli chcemy, aby ludzie

„Ponieważ nie mamy możliwości kontrolować innych ludzi, starajmy się chociaż zwracać uwagę na przejawy nieczuralnej mowy. Nie każdy wie, że słowa, jakich używa, mogą przeszkadzać innym osobom.”



Karolina Laszuk

jaki poznają w domu. Trzeba więc dbać o to, co sami mówimy, ale i jak porozumiewają się odwiedzający nas goście czy pozostała rodzina. Pamiętajmy o tym, co oglądamy w telewizji, jakie treści nasze pociechy poznają poprzez inne media. Wszystko to kształtuje ich przyszły język. Na te obszary mamy też największy wpływ. Szkoła i rówieśnicy to już trudniejsza kwestia, ale możemy starać się przynajmniej pilnować, w jakim otoczeniu przebywa nasze potomstwo. Ponieważ nie mamy możliwości kontrolować innych ludzi, starajmy się chociaż zwracać uwagę na przejawy nieczuralnej mowy. Nie każdy wie, że słowa, jakich używa, mogą przeszkadzać innym osobom. Być może jeśli uświadomimy sobie takie zachowania, to będzie szansa na ich zmianę. Ponadto ukazanie pozostałym obserwatorom, że nie należy pozostawać obojętnym na przekleństwa pomoże pozbyć się ich z naszej mowy. Sama czasem łapię się za język. Zwykle, kiedy się spieszę i coś nie wychodzi, gdy się zdenerwuję lub dziecko wyprowadzi mnie z równowagi. Zwłaszcza przy najmłodszych powinniśmy się najbardziej kontrolować. Jak się już wywie, to trudno, jesteśmy tylko ludźmi, może nie zwróci uwagi. Ale jeśli maluch draży temat, to należałoby przyznać się do błędu i zaznaczyć, że tak się nie mówi. Słowo niestety już pozna, ale przynajmniej będzie wiedzieć, że nie chcielibyśmy, aby go używał. Przyzwolenie na swobodne stosowanie wulgaryzmów powoduje, że nikogo nie gorszą. Jeżeli będziemy je zwalczali, być może znikną. No może przynajmniej zmniejszy się ich występowanie. ◀

dookoła nas porozumiewali się kulturalnie, to sami powinniśmy dawać dobry przykład. Nasze dzieci będą się komunikować w taki sposób,

### UL. Haliny Łuczyckiej

W cyklu „Białskie ulice” przedstawiamy sylwetki ludzi zasłużonych dla Białej Podlaskiej i jej mieszkańców. W to zacne grono wpisuje się wybitny pedagog Halina Łuczycka. Ulica, nosząca jej imię, położona jest na osiedlu Kosynierów I.

#### Aresztowanie

Po zamknięciu szkoły przez hitlerowskiego okupanta w listopadzie 1939 r. Łuczycka została bez pracy, ale wraz z innymi nauczycielkami zajęła się tajnym nauczaniem. 14 czerwca 1940 r. hitlerowcy następnie ściągnęli (rzekomo na zebranie w sprawie założenia szkoły) kadrę nauczycielską z obu bialskich szkół średnich. Wszyscy, którzy się stawili, zostali aresztowani i wywiezieni do lubelskiego zamku. Nauczycieli – mężczyzn wywieziono następnie do obozów koncentracyjnych, skąd żaden nie wrócił. Kobiety, a wraz z nimi Halina Łuczycka, staraniem Szwedzkiego Czerwonego Krzyża zostały po trzech i pół miesiącach zwolnione.

Po powrocie nauczycielka przeniósła się do Otwocka, ale nie mogła znaleźć tam pracy. Wróciła w związku z tym do Lublina i zatrudniła się jako bibliotekarka. W sierpniu 1944 r. przyjechała do Białej Podlaskiej i ponownie podjęła pracę w liceum im. Emilii Plater.

#### Z powrotem w Białej

Halina Łuczycka była w pierwszym szeregu pedagogów, poszukujących nowych metod nauczania. Podjęła studia zaoczne na poloni-

stycie i rozwijała zdolności literackie. Przez pewien czas kierowała powiatowym zespołem metodycznym dla nauczycieli języka polskiego szkół ogólnokształcących. Prowadziła również bibliotekę szkolną i wzbogacała ją o cenne nabytki, a w szczególności o literaturę potrzebną do nauczania języka francuskiego. Gromadziła również poważnych rozmiarów bibliotekę prywatną. Te zbiory zgodnie z życzeniem ich właścicielki po jej śmierci trafiły do II Liceum Ogólnokształcącego im. E. Plater.

Przeżycia wojenne nadwężyły mocno stan zdrowia Łuczyckiej, jednak mimo częstych chorób nauczycielka, dopóki mogła, pracowała z poświęceniem. W 1957 r. zaangażowała się w zorganizowanie III Koleżeńskiego Zjazdu Wychowanków Szkół Bialskich. Część broszury pamiątkowej wydanej z tej okazji jest jej autorstwa.

Władze powiatowe coraz częściej wytykały Łuczyckiej przestarzałe, niezgodne z duchem czasu i zasadami socjalizmu metody wychowawcze. W końcu została zmuszona do przejścia „na własną prośbę” na emeryturę. Zmarła w 1970 r. i została pochowana na bialskim cmentarzu przy ul. Janowskiej. ◀



tekst i zdjęcia Elżbieta Pyrka



Halina Wanda Łuczycka urodziła się 22 stycznia 1905 roku w Słupi w województwie kieleckim. W 1923 r. ukończyła Gimnazjum Humanistyczne ss. Urszulanek w Lublinie. Ze względu na trudną sytuację materialną rodziny z opóźnieniem rozpoczęła studia na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

#### Sorbona i Platerka

Skończyła filologię romańską, uzyskując w 1931 r. tytuł magistra i w tym samym roku rozpoczęła pracę w Państwowym Żeńskim Gimnazjum im. Emilii Plater w Białej Podlaskiej jako nauczycielka języka francuskiego. W 1934 r. Łuczycka zdała egzamin przed Komisją dla Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, dzięki czemu uzyskała kwalifikacje do nauczania języka francuskiego w szkołach średnich oraz seminariach nauczycielskich, i otrzymała tytuł profesora szkół średnich. Latem 1935 r. wyjechała do Francji, gdzie przebywała m.in. na Sorbonie. Ten krótki pobyt zaowocował potem dobrymi efektami w nauczaniu. Ponadto pozwolił Łuczyckiej rozwinąć uzdolnienia pisarskie i zainteresowania językiem polskim.

# PIEROGI W KREDENSIE

tekst i foto Małgorzata Tymoszek

To naprawdę trudne, aby zrobić idealne ciasto na pierogi. Cały sekret tkwi w energicznym jego ugniataniu i stopniowym dodawaniu gorącej wody. Kolejny etap to jego cienie rozwałkowanie, co gwarantuje delikatność. Podstawowa zasada to taka, że ciasto jest jedynie dodatkiem do farszu. W Pierogarni Kredens przy ul. Narutowicza spełnione są wszystkie te warunki. Tu ciasto jest miękkie i elastyczne, a ogromne pierogi mają przepyszne i różnorodne nadzienie.

W pierogarni od razu moją uwagę zwraca dostojny dębowy kredens. Ma przepiękne elementy rzeźbienia, stylowe wykończenie z kamionki. Już wiem, skąd nazwa lokalu. Starodawne lampy naftowe i ozdoby na ścianach – szczególnie miedziane talerze – dają niepowtarzalny klimat. Jest tu miło i gościnnie. Solidne, drewniane stoły ozdobione są ręcznie wykonanymi koronkowymi serwetkami. Doskonale pasują do nich krzesła z welurowymi obiciami w kolorze zgaszonej zieleni. W kącie, tuż obok kredensu, stoi wygodna kanapa, z której nie ma się ochoty wstawać. Od września przewidziane są w menu dania dnia i catering. Póki co, trzeba na miejscu skosztować pierogów. Wybór jest spory. Oprócz tradycyjnych ruskich, z soczewicą czy mięsnych są słodkie z truskawkami czy jagodami. Ja wybieram wersję z serem i brzoskwinia (6 sztuk w cenie 10 zł). Nie miałam do tej pory możliwości degustacji takich. Są przepyszne. Miałam też ochotę skosztować tych z kaszą

gryczaną i serem. Niestety, zabrakło. Jak widać, trzeba się spieszyć, bowiem ok. godziny 17.00 jest coraz mniejszy wybór.

Pierogi w Kredensie to jednak nie wszystko. Do wyboru są knedle, naleśniki z najróżniejszymi farszami oraz chrupiące, świetnie wysmażone placki ziemniaczane podawane ze śmietaną i natką pietruszki. Następnym razem spróbuję



krokietów (2 sztuki za 6 zł) ze szpinakiem i serem. W menu są również świeże surówki w cenie od 2,5 do 5 zł. Są doskonałym dodatkiem do proponowanych dań. W Kredensie panuje specyficzna, rodzinna at-

mosfera, którą daje przydymione światło w małym współczesnym wnętrzu. Ale restauracja na tym właśnie zyskuje. Właścicielka jest przemiła i bardzo pomocna w doborze menu. Gorąco polecam wizytę w pierogarni! ▶

# Z MIĘTĄ ZA PAN BRAT

tekst i foto Małgorzata Tymoszek

Ta aromatyczna roślina znana jest od tysięcy lat. Najbardziej powszechna jest pieprzowa i polna, ale są też odmiany, o których większość z nas nie słyszała, jak ta o zapachu truskawki, grejfruta, pomarańczy czy czekolady. Tak, tak – o mięcie mowa.

Te niepozorne listki wraz z łodygą stanowią bazę aromatycznych i pożytecznych składników. W swoim składzie ma karoten, witaminy A, C, B3 oraz żelazo, wapń, magnez i potas. Moc i dobroczynny wpływ mięty nie zależą od tego, czy jest suszona, czy też świeża. Ale oczywiście najbardziej aromatyczna jest ta rwana prosto z ogrodu czy doniczki.

#### Pomocna w diecie

Wpływ mięty na trawienie jest nieoceniony. Dzięki niej zwiększony zostaje proces wydzielania się soku żołądkowego. Tym samym ulepszona jest praca jelit – można więc powiedzieć, że mięta ma wpływ na naszą sylwetkę. Poza tym obniża ciśnienie krwi.

Połączenie cytryny i mięty od razu po przebudzeniu odświeża i odżywia. Pijmy ją przez cały dzień. To doskonała alternatywa dla tych, którzy nie „czują” smaku zwykłej wody, a do jej picia zmuszają się. Z wysokokalorycznych napojów, dziwnych soków i napojów gazowanych przestawmy się zdrowy napój. Kluczową rolę odgrywa aromat tej rośliny. Jak donosi „New York Times”, według badań profesora Bryana Raudenbusha z uniwersytetu w Wirginii Zachodniej, zapach mięty w znacznym stopniu zmniejsza apetyt. Blisko 40 osób poproszono o wachanie mięty co dwie godziny przez kolejnych pięć dni, co przyczyniło się do znacznego dziennego zmniejszenia spożycia kalorii.

#### Przepis na miętowy syrop

Świeże gałązki mięty (8-10 sztuk) opłukujemy i pozostawiamy na kilka minut do wyschnięcia. Następnie zalewamy jednym litrem wody. Wcześniej miętę delikatnie rozcieramy w dłoniach, aby jej aromat był jeszcze bardziej wyraźny. Gotujemy na małym ogniu do momentu wrzenia (około 10 minut) i odstawiamy.

Do garnka z tą miksturą wracamy na drugi dzień, a wtedy odcedzamy płyn (najlepiej wcześniej jest porządnie wycisnąć miętę) i dosypujemy 1 kg cukru (można zmniejszyć jego ilość lub dodać cukier trzcinowy) oraz całe opakowanie kwasu cytrynowego. Gotujemy to wszystko przez ok. 5 minut tym razem na większym ogniu. Gorący płyn rozlewamy do wyparzonych butelek. Mocno zakręcamy i odstawiamy do góry dnem. Nie trzeba już pasteryzować.

Tak przyrządzony syrop miętowy jest świetnym dodatkiem do gorącej herbaty, której nie należy już słodzić lub jako orzeźwiający napój dodany do wody z kostkami lodu. Można dodać szczyptę imbiru i plasterki cytryny, aby wzmocnić smak.

Sposobem na szybki, jednorazowy napój jest posiekanie kilku listków mięty, dodanie odrobiny startego na tarce świeżego imbiru, łyżki miodu, soku z jednej cytryny i zalanie tego szklanką wody. ▶



# ORLETA – ROCZNIK 1974

tekst Katarzyna Fronc, foto archiwum



Tradycje lotnicze wciąż są żywe w Białej Podlaskiej. Na ich straży stoją m.in. bialscy absolwenci Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie, którzy po czterdziestu latach od jej ukończenia, organizują w mieście zjazd rocznicowy, na który przyjadą ich koledzy z całej Polski. Bialczanie we wrześniu będą mieli okazję obejrzyć musztrę paradną i wysłuchać koncertu wojskowej orkiestry. Samolotów w powietrzu raczej nie będzie. Dziś wojsko tu nie lata.

Franciszek Ostrowski, Mikołaj Efimow i Jerzy Trudzik wzięli na siebie obowiązek – ale jak sami podkreślają – także przyjemność zorganizowania w Białej Podlaskiej zjazdu absolwentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie, którzy mieli swoją promocję w maju i grudniu 1974 roku. – W tym roku przypada 40. rocznica tego wydarzenia i z tej okazji na naszej podlaskiej ziemi, która ma przecież bogate tradycje lotnicze, podjęliśmy się organizacji tego przedsięwzięcia – wyjaśnia ppłk pil. w st. spocz. Franciszek Ostrowski.

Przez lata lotnictwo było ich całym życiem. I choć pojawiały się inne pasje, tę związaną z samolotami darzą największym sentymentem. Stąd chęć spotkania z kolegami, którzy kończyli tę samą szkołę i dzielą ją z zainteresowaniami. – Poza tym znaczna ich część uczyła się latać właśnie w Białej Podlaskiej – podkreśla Ostrowski.

Uroczystości rozpoczną się 5 września o godz. 15.00 na placu Wolności złożeniem wieńców przed Miejscem Straceń. Bialczanie będą mieli okazję obejrzyć musztrę paradną Kompanii Represen-

tacyjnej Sił Powietrznych z Dębina oraz wysłuchać koncertu Orkiestry Wojskowej z Siedlec. Ponadto też ogólnie dostępny będzie występ znanego wirtuoza akordeonu Marcina Wyróstka



jego zespołu, jaki zaplanowano o godz. 16.30 w sali widowiskowej przy ul. Brzeskiej 41.

Następnego dnia, w sobotę o godz. 10.00, odbędzie się msza w kościele wojskowym pw. Św. Kazimierza Królewicza przy ul. Dokudowskiej w intencji nieżyjących już kolegów z rocznika 74. Akompaniować będzie strażacka orkiestra dęta z Rossosza. Po nabożeństwie absolwenci WOSL złożą kwiaty i zapalą znicze przed pomnikiem Poległych Lotników. Obok posadzony zostanie „Dąb Lotnik”, a na wielkim głazie zawisnie tablica upamiętniająca spotkanie.

W roku 1974 w Szkole Orłąt w Dęblinie odbyły się dwie promocje absolwentów – majowa i grudniowa. Ta pierwsza objęła pilotów latających na samolotach tłokowych i śmigłowcach. Druga – pilotów samolotów odrzutowych. W sumie promowanych było 156 pilotów i 14 nawigatorów latających.

Na zjazd w Białej zapisało się dotąd 69 z nich. Ze względów losowych, a może i braku chęci, 47 nie przyjedzie. Czternastu Franciszek Ostrowski, który wziął na siebie główny ciężar organizacji, nie zdołał – jak mówi zlokalizować. Nie będzie też 38 kolegów, którzy umarli bądź zginęli w katastrofach lotniczych.



sierpień

sierpień

sierpień

sierpień

SPORTS AND MUSIC FOR THE SAKE OF FUN!

## ART OF FUN

SUMMER 2014  
22-23 SIERPNI

### TYMON & THE TRANSISTORS

GOORAL × SHATA OS  
LESSLESS × SZTIGAR BONKO

SKATEBOARD × SKIMBOARD × SLACKLINE  
FRISBEE × GRAFFITI × ZOMBIEWALK × PAPER AIRPLANE

10PLN / DZIEŃ × LICZBA MIEJSC OGRANICZONA  
PRZEDSPRZEDAŻ JAZZANOVA, ARTYLERYJSKA 14

WWW.FACEBOOK.COM / ARTOFFUN

## JAKUB SZYMAŃSKI fotografia

Wernisaż: piątek 1 sierpnia, godz. 18.00

Galeria Podlaska, ul. Warszawska 12

Wystawa czynna od 1.06. do 2.09.2014, codziennie (oprócz sobót) w godz. 10 - 18  
21-500 Biała Podlaska, ul. Warszawska 12, tel. 833 416 725, www.galeriapodlaska.pl, galeriapodlaska@wp.pl

## LATO W MIEŚCIE

### Białskie Centrum Kultury zaprasza na zajęcia i imprezy w okresie wakacji

**BIAŁSKIE CENTRUM KULTURY**  
ul. Warszawska 11, tel. 83 3416712 poniedziałek - piątek 7.30 - 16.00

**BCK GALERIA PODLASKA**  
ul. Warszawska 12, tel. 83 3416725 poniedziałek - piątek, niedziela 10.00 - 18.00

**BCK KLUB KULTURY SCENA**  
ul. Zygmunta Augusta 6, tel. 83 3416418 poniedziałek - piątek 8.00 - 16.00

**BCK KLUB KULTURY PIAST**  
ul. Spółdzielcza 4, tel. 83 3416459 poniedziałek - piątek 8.00 - 16.00 (w lipcu nieczynne)

**BCK KLUB KULTURY EUREKA**  
ul. Orzechowa 34, tel. 83 3416731 poniedziałek - piątek 8.00 - 16.00 (w sierpniu nieczynne)

**BCK INFORMACJA TURYSTYCZNA I KULTURALNA**  
ul. Warszawska 11 tel. 83 3416720, 83 3426289  
poniedziałek - czwartek 8.00 - 16.00, piątek 8.00 - 18.00, sobota 10.00 - 15.00

### IMPREZY

**WAKACYJNE CZWARTKI Z BCK**  
lipiec - sierpień, godz. 10.00 Park Radziwiłłowski

**PLENEROWE KINO LETNIE** Amfiteatr, seanse o godz. 21.00  
13 lipca - projekcja filmu „Chrzest”  
27 lipca - projekcja filmu „Kochanek Królowej”  
10 sierpnia - projekcja filmu „Pora umierać”  
24 sierpnia - projekcja filmu „Smak życia 3 czyli chińska układanka”

**KONCERT ZESPOŁÓW FOLKLORYSTYCZNYCH**  
11 lipca, godz. 17.00 Amfiteatr  
BURGDEIFALA - Francja, KELAPTARI - Gruzja, KINCŐ - Słowacja  
Kapela Ludowa „Podlasiacy” BCK Biała Podlaska

**„NIE - SWÓJ”** - spektakl w wykonaniu Amatorskiego Teatru Lalek „Goszen”  
18 lipca, godz. 12.00 BCK Klub Kultury Scena

**GIELDA STAROCI BCK** - spotkanie kolekcjonerów z powiatu białskiego  
20 lipca, 17 sierpnia, godz. 9.00 Białskie Centrum Kultury

**70 ROCZNICA WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO**  
1 sierpnia Plac Wolności  
godz. 18.00 - Uroczysta Msza Święta w intencji Ojczyzny, Kościół NNMP ul. Brzeska 33 A  
godz. 19.30 - KONCERT PIŚNIEK POWSTAŃCZYCH  
godz. 21.00 - „TAKIE TO DZIEJE” – spektakl teatru „Antidotum”

**LITERACKIE ESPRESSO** - letnie spotkania z literaturą przy kawie  
22 sierpnia, godz. 19.00 BCK Klub Kultury Piast

**GRUNT TO RODZINKA**  
31 sierpnia, godz. 14.00 Amfiteatr i Park Radziwiłłowski  
Festyn na zakończenie wakacji  
Targi podręczników szkolnych - wymiana, zamiana lub sprzedaż

**WYSTAWY**

27 czerwca - 7 sierpnia - „Tektura” - wystawa białskiego środowiska plastycznego  
Wernisaż: 27 czerwca, godz. 18.00  
BCK Galeria Podlaska

1 - 31 lipca - „Chodź pomaluj mój świat...” - wystawa prac dzieci z koła plastycznego „Lazurowy Kot”  
BCK Klub Kultury Eureka

4 - 30 lipca - Maria Piątek - malarstwo  
Wernisaż: 4 lipca, godz. 18.00  
BCK Galeria Podlaska

15 lipca - 31 sierpnia - „Znany białczanin w karykaturze” - wystawa pokonkursowa  
BCK Klub Kultury Scena

### WARSZTATY, PLENERY, FESTIWALE

01 - 14 lipca - Festiwal Folklorystyczny - Zespół Pieśni i Tańca „Podlasiacy” Kiten, Bułgaria

03 - 06 lipca - plener plastyczny - fotograficzny „Dolina Bugu” Drohiczyń

04 - 07 lipca - warsztaty wokalne zespołu „Chwilka na szpilkach” Serpelice

22 lipca, godz. 10.00 - 15.00 - warsztaty teatralno - szcudlarskie dla młodzieży BCK KK Scena

14 - 27 lipca - warsztaty kola plastycznego „GWASZ” Byczyna

02 - 09 sierpnia - warsztaty wokalne zespołu „Chwilka” Serpelice

11 - 19 sierpnia, godz. 12.00 - 14.00 - castingi do zespołu wokalnego „Chwilka” BCK KK Piast



**Młodzieżowa rada po pół roku**  
Foto M. Krzewicki

Swoją dotychczasową działalność podsumowała Młodzieżowa Rada Miasta. 30 czerwca w białskim Urzędzie Miasta zorganizowano galę, podczas której młodzi radni przypomnieli swoje najważniejsze dokonania z półroczna, m.in. wizytę w oddziale dziecięcym Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Białej Podlaskiej, akcję „Patroni naszych ulic” i czytania bajek w przedszkolach. Ponadto podczas uroczystości rozstrzygnięto konkurs na logo Młodzieżowej Rady Miasta. Bon na lot motolotnią, kurs języka angielskiego oraz karnet na siłownię odebrał laureat Radosław Ignaciuk z Białej Podlaskiej. Spośród wszystkich uczestników konkursu rozlosowano dodatkową nagrodę oraz przyznano jedno wyróżnienie. Galę uświetniły występy zdolnych białczan. Piotr Kirczuk i Michał Ajiuk przygotowali pokaz breakdance. Zaśpiewały Katarzyna Sawczuk oraz Aleksandra Kusiak i Alicja Lesiuk ze studia wokalnego Brevis. Wystąpił także zespół Bluestreet w składzie: Maciej Michaluk, Marcin Olesiejuk i Kacper Żelisko. (red) ◀



**Gry podwórkowe w parku**  
Foto BCK

Pracownicy Białskiego Centrum Kultury z myślą o dzieciach spędzających wakacje w mieście 10 lipca w Parku Radziwiłłowskim przygotowali wiele atrakcji. Hasło, jakie przyświeca akcji „Wakacyjne czwartki w BCK”, to „Stare i nowe gry podwórkowe”. Były między innymi klasy, gra w dwa ognie i kapsle, ale również malowanki czy puszczanie baniek mydlanych i dmuchanie balonów. Okazało się, że zaplanowane zabawy sprawiły wiele radości nie tylko najmłodszym, ale również ich opiekunom, którzy mieli okazję przypomnieć sobie dzieciństwo. (red) ◀



**Barwna zaprasza na szaleństwo**  
Foto Archiwum

Półmetek wakacji już za nami, dlatego warto wykorzystać pozostałe nam wolne dni na świetną zabawę, i niezapomniany czas spędzony z rówieśnikami i Biblioteką Barwną. Trwają w niej „Wakacyjne różności dla czytelników z krwi i kości”, czyli codzienne zajęcia dla wszystkich chętnych, którzy ukończyli 7 lat. Poniedziałkowe biblioteczne kino gromadzi rzesze widzów, podobnie jak wtorkowe zabawy z cyklu „Co w książkach piszczy”, środowe zostawanie mistrzem gier wszelakich, czwartkowe zajęcia językowe i piątkowe muzyczne. Jeszcze można dołączyć. Biblioteka Barwna zaprasza codziennie o godz 12. (bib) ◀



**Ludowo w amfiteatrze**  
Foto N. Wołosowicz

Ciekawą propozycję spędzenia piątkowego popołudnia (11 lipca) zaproponowało mieszkańcom miasta Białskie Centrum Kultury. Na deskach amfiteatru w ramach XXIX Międzynarodowych Spotkań Folklorystycznych, które odbywają się w Lublinie, wystąpiły zespoły z Gruzji, Francji i Słowacji. Publiczność oklaskiwała zespół Kelaptari, który posiada w swoim programie tańce gruzińskie, sięgające korzeniami kultury starożytnej. Z kolei Burgdeifala z Francji zaprezentowała tańce pochodzące z okresu XVI-XIX wieku. Kincoś to Węgry mieszkający na Słowacji, którzy w swoim repertuarze prezentują tańce węgierskie. Dla widzów zagrała również bialska kapela Podlasiacy. (nw) ◀

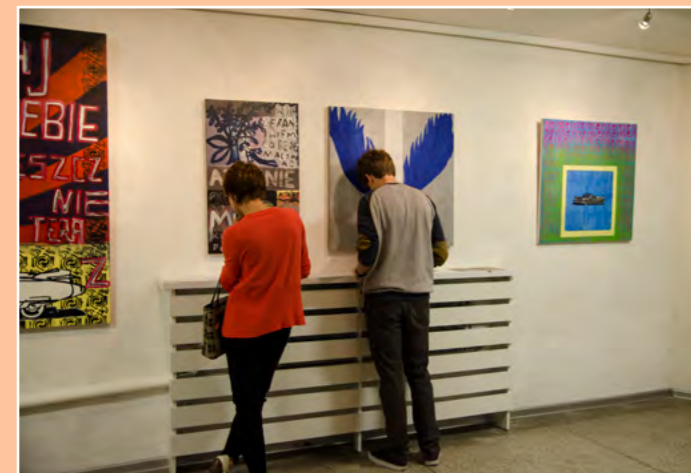




**Piątek w piątek**

Foto N. Wołosowicz

Wystawa „Dokądkolwiek pójde na Facebooku” Marii Piątek, jaką otworzył wernisaż (nomen omen) w piątkowe popołudnie (11 lipca) w Galerii Podlaskiej, pokazuje wrażenia artystki, uczestniczącej w internetowej rzeczywistości. Autorka operuje symbolami, znakami, skrótami, wykorzystuje zdjęcia swoje i swoich znajomych z Facebooka, aby wywołać skojarzenia i prowokować widzów do tworzenia własnych opowieści. Wystawa jest częścią większego projektu, w której będą uczestniczyć również jej widzowie. Każdy, kto przybędzie do galerii, może uzupełnić zdanie „Dokądkolwiek pójde na Facebooku...”. Odpowiedzi zostaną zebrane przez artystkę i zaprezentowane w formie książki. Maria Piątek to absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W 2012 roku obroniła doktorat na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach. Mieszka i pracuje w Warszawie. (nat) ◀



**Podlasiacy w Bułgarii**

W dniach 1-14 lipca Zespół Pieśni i Tańca Podlasiacy z Bialskiego Centrum Kultury w Białej Podlaskiej reprezentował miasto na Międzynarodowym Festiwalu „Balkan Folk Fest – 2014” w Kiten w Bułgarii. Zespół koncertował również w Primorsku razem z zespołami z Serbii, Czech, Polski, Bośni i Hercegowiny, prezentując tańce i zabawy podlaskie oraz krakowiaka. Oprócz koncertów festiwalowych młodzież zwiedziła najpiękniejsze atrakcje turystyczne regionu, między innymi Primorsko, Nessebar, jak również zabytki rumuńskiego Brasov i zamek Draculi w Bran. Wspólne koncerty i zabawy zaowocowały nawiązaniem licznych przyjaźni wśród uczestników festiwalu. Bialskie Centrum Kultury dziękuje Bankowi Spółdzielczemu i firmie Petrodom z Białej Podlaskiej za wsparcie finansowe wyjazdu. ◀



**Wakacje z Bogiem**

foto archiwum organizatora

Ponad sto sześćdziesięcioro dzieci w dniach 9-12 lipca wzięło udział w zajęciach zaproponowanych przez białską Parafię Świętego Michała Archanioła. W ramach „Wakacji z Bogiem” atrakcje zapewniali animatorzy kultury i zaproszeni goście. Pogadanki z dziećmi mieli m.in. przedstawiciele służb mundurowych i ratownicy medyczni. Ponadto były gry i zabawy, codzienna gimnastyka i modlitwa. Jak mówią organizatorzy trzeciej już edycji tego przedsięwzięcia, celem, jaki mu przyświeca, jest spotkanie z Bogiem poprzez modlitwę, śpiew i taniec. Okazuje się, że zainteresowanie tą akcją rośnie z roku na rok. (red) ◀



**MULTICENTRUM**

**oferuje bezpłatne zajęcia  
dla dzieci i młodzieży  
w miesiącu lipcu i sierpniu**

zapraszamy w **poniedziałki, wtorki, środy, piątki**  
godz. 10.00 - 11.00 dzieci w wieku powyżej 9 lat  
godz. 11.00 - 12.00 dzieci w wieku 7- 9 lat  
godz. 13.00 - 14.00 dzieci w wieku 5 - 7 lat

we **czwartki** zapraszamy grupy zorganizowane  
w godzinach 10.00 - 15.00

w **soboty** zapraszamy na zajęcia rodzinne  
w godzinach 9.00 - 15.00

w wybranych tygodniach  
od poniedziałku do środy w godz. 13.00 - 15.00  
dzieciom w wieku powyżej 10 lat  
proponujemy **warsztaty konstruowania  
ROBOTÓW LEGO**

# LATO

## w MULTICENTRUM

W KAŻDYM  
Z NAS  
DRZEMIĄ  
PASJE  
I TALENTY!



Zapisy na zajęcia odbywają się  
osobiście lub telefonicznie  
pod numerem 83 341 60 17

Szczegółowa oferta zajęć  
znajduje się na naszej stronie internetowej.

SZTUKA

MUZYKA

NAUKA

DZIECIAK

TECHNIKA

ROBOTY LEGO

KLOCKI K'NEX

JĘZYK ANGIELSKI